

# BLUSZCZ

*spoleczno-literacki ilustrowany  
tygodnik kobiecym*



Warszawa,  
Solec 87

# „BLUSZCZ”

spoleczno-literacki  
ilustrowany tygodnik kobiecy

Ś-to Krzyska 17, m. 3, tel. 6-76-72.

Warszawa,  
Ś-to Krzyska 17 m. 3.

telefon 2-44-18.

telefon 6-76-72.

Redaktorka naczelna *STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW*.  
Dział robót pod kierownictwem *JADWIGI KORZENIOWSKIEJ*  
Dodatek „Wychowanie i szkoła” pod kierownictwem *WANDY BORUDZKIEJ*  
Redakcja i Administracja Warszawa — Solec 87, tel. 2-44-18 i 5-87-03.

KLISZE WYKONUJĄ WŁASNE ZAKŁADY FOTO-CHEMIGRAFICZNE

## Treść numeru:

*Z. Zaleska*: „Praca zarobkowa i feminizm”. *Beata Gamarnicka*: „Zimowe konwalje”. *M. Kasterska*: „Matka”. *Hanna Skarbek*: „Córy Indji”. *Stefanja Podhorska-Okolów*: „Z życia literackiego”. *Stefanja Podhorska-Okolów*: „Witold Pruszkowski”. *Jadwiga Korulska*: „Z Grodzieńszczyzny”. *S. P. O.*: „Z teatrów”. *H. N.*: „Z ubiegłego tygodnia”. Przegląd Prasy. Świat kobiecy w ilustracji. Ogrodnictwo i hodowla. *Marja Dąbrowa*: „Rośliny w inspekcji”, „Kury zimą potrzebują ruchu”, „Jak się obchodzić ze zdjętą skórka króliczą”, „Cięcie krzewów”, „Gaz świetlny, a kwiaty”. Dom i gospodarstwo. *Wanda Dobrzańska*: „Jarzyny zimowe”. *Melba*: „Przepisy kulinarne”, „Mody i roboty”. „Kronika harcerska”.

## WARUNKI PRENUMERATY:

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie — 4.50 zł., kwartalnie — 13.50 zł., rocznie — 54 zł.  
Do innych krajów miesięcznie — 5.20 zł. Zmiana adresu — 50 gr.

- Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszcza” — Warszawa, Solec 87 i Świętokrzyska 17 m. 3.

Konto P. K. O. WARSZAWA Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Bluszcza”, Sp. z ogr. odp.

Pracownicy umysłowi korzystają z 20% ustępstwa.

## WARUNKI OGŁOSZENIOWE:

	zł.			zł.	
$\frac{1}{1}$ str. tekstu	— 700.—	Okładka III-cia		$\frac{1}{1}$ str. okł.	— 500.—
$\frac{1}{2}$ „ „	— 400.—			$\frac{1}{2}$ „ „	— 250.—
$\frac{1}{4}$ „ „	— 200.—			$\frac{1}{4}$ „ „	— 150.—
$\frac{1}{8}$ „ „	— 100.—			$\frac{1}{8}$ „ „	— 80.—
$\frac{1}{16}$ „ „	— 50.—			$\frac{1}{16}$ „ „	— 50.—
$\frac{1}{32}$ „ „	— 50.—			$\frac{1}{32}$ „ „	— 50.—
				Okładka IV-ta	zł.
				$\frac{1}{1}$ str. okł.	— 600.—

Przy ogłoszeniach seryjnych prosimy o żądanie ofert.

Ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń w kraju i zagranicą, oraz biuro Tow. Wyd. „Bluszcza” — Warszawa, Solec 87, tel. 6-26-44, 2-44-18 i 5-87-05. Cena artykułów reklamowych w tekście wedle specjalnej umowy.

Tygodnik „BLUSZCZ” ze względu na swoje liczne i szerokie sfery czytelniczek, jest doskonałym organem reklamowym dla wielu artykułów z dziedziny zainteresowań kulturalnej kobiety.

Czytelniczki „Bluszcza” powinny nabywać tylko te towary, które zaleca im ich ulubione czasopismo.

W razie wypadków spowodowanych siłą wyższą, lub przeszkód w zakładzie, strajków i t. p., wydawnictwo nie odpowiada za regularne dostarczanie pisma i abonenci nie mają prawa domagać się niedostarczonych numerów lub odszkodowania.

# BLISKO

SPOŁECZNO-LITERACKI  
I L U S T R O W A N Y  
TYGODNIK KOBIECY



*Zima w górach.*

# Praca zarobkowa i feminizm

„Nie jest do wytrzymania dla mężczyzny, by siedział na utrzymaniu żony. To jest przeciwne całemu naturalnemu porządkowi. Ojciec - mąż jest od tego, by zarabiał i był głową rodziny. Gdy jest bez pracy, a żona pracuje, życie staje się nieznośne dla niego“.

Jest to wyjątek z jednego z listów „męskich“, jakie wywołał któryś tam z moich artykułów, dowodzących potrzeby pracy zarobkowej kobiet w tym celu, by w razie śmierci męża, opuszczenia przez niego rodziny, czy stracenia przez niego pracy, taż rodzina nie wpadała w nędzę i nie była zmuszona kołatać do dobroczynności publicznej. Z tego mój korespondent wyprowadził cały monolog, na temat dzisiejszych stosunków, żaląc się, że żony zarobkują, gdy mężowie siedzą bez pracy.

Objaw ten w ostatnich latach wszedł już do literatury. I w każdej czy to nowelce, czy powieści na ten temat podkreślana jest tragedia męża, beczynnierkorzystającego — z konieczności, z musu — z pracy żony i za to... urządzającego jej sceny. Bardzo logicznie, bo „jakże mężczyzna znieść może myśl, że nie jest żywicielem i panem domu“, od którego byt tego domu zależy? Tej myśli on znieść nie może i... piekli się, zapewne w tym celu, by ulżyć żonie, zamało jeszcze zmęczonej pracą poza domem i w domu dla jego obsłużenia, zamało udęczonej widokiem uciekającej miłości męża, rozdrażnionego nienormalną sytuacją.

Był czas jednak, że te nienormalne sytuacje były przez takichże mężów uważane za zupełnie normalne. Kiedy? A wtedy, kiedy to o małżeństwie decydował posąg, kiedy różni panicze i niepanicze żenili się „z posagiem“, biorąc w dodatku do niego żonę. Cała różnica polega na tem, że wtedy tym majątkiem żony zawiadywał pan mąż, jako głowa rodziny i do niego zwracali się ci, którzy z tej czy innej transakcji wpłacali pieniądze. Ot i rozwiązanie „tragedji“: niech żona pracuje, a zarobki jej niech będą wypłacane mężowi. Wtedy wszystko będzie w porządeczku: pan domu pozostanie na swoim stanowisku, wydzielającego żonie jej dochody. A że one będą płynęły z jej pracy, a nie z posagu, to przecież wszystko jedno.

Ci, narzekający na niemożliwe sytuacje, panowie rekrutują się przedewszystkiem ze sfery urzędniczej — to znaczy z warstwy, niezdolnej do twórczej pracy, do pracy samodzielnej, wymagającej inicjatywy, rzutkości i energii. Oni to zazdroszczą żonom „posad“, nie rozumiejąc zupełnie innych dróg zarobku. Według nich świat przewrócił się do góry nogami teraz, właśnie „dopiero teraz“.

A jednak... Zajrzyjmy, co się to dzieje w rodzinach... rzemieślniczych. Weźmy nasze krawcowe, modniarki, kapeluszniczki, bieliźniarki, rękawiczniczki, hafciarki i t. p. W drugim już, albo i w trzecim pokoleniu pracownia i sklep, założony przez

kobiety, jest podstawą bytu rodziny. Mężczyźni — owszem — pracują, ale wnoszą na utrzymanie domu  $\frac{1}{3}$  albo i  $\frac{1}{4}$  potrzebnych środków. I nikt tam z tego tragedji nie robi.

Dopiero, gdy zajdzie się do tych rodzin, gdzie ojciec - urzędnik utrzymywał rodzinę, a matka dorabiała krawiectwem, czy czemś w tym rodzaju, a potem ojciec został zredukowany i praca matki w jej zawodzie stała się głównym (jedynym) źródłem utrzymania, tam jest posmak początku takiej zgryzoty, jaką udęcują się już w całej pełni rodziny urzędnicze (ojciec zredukowany, matka - urzędniczka).

Jest naprzykład taka sytuacja: ojciec był magazynierem w fabryce 26 lat, fabrykę zlikwidowano. Mając lat 50, nie ma nadziei otrzymania żadnej posady. Matka - krawcowa, zdolna i pracowita, pracuje teraz na utrzymanie rodziny, t. zn. męża i 2 dzieci: córki maturzystki, która zabrała się do pomagania matce, i syna - maturzysty bezrobocznego, jak ojciec. Ci dwaj: ojciec i syn rządzą w kuchni: gotują, piorą, sprzątają, by matka i siostra mogły szyć bez przerwy. Niema tu zawiści o „posadę“ — jest tylko smutek i chęć pomożenia tym kobietom, które pracują cały dzień. Sytuacja nienormalna, tak. Ale... bez piekła w domu.

Kobiety ratują rodziny pracą swoich rąk. Mężczyźni... nie umieją się wziąć ani do rzemiosła ani do handlu. Dlaczego? Bo mają psychikę urzędniczą. Bo ich nie nauczono myśleć o samodzielnej pracy, zabito w nich inicjatywę i przedsiębiorczość, przyzwyczajono tylko do wykonywania rozkazów: idź tu, zrób tamto, pilnuj tego, załatw to tak, a nie inaczej.

I nasuwa się cała masa dziedzin pracy, zupełnie u nas niezorganizowanych, gdzie energiczni, rzutcy myślący ludzie mogliby znaleźć pracę i zarobek, ale... bez posad. I dlatego te dziedziny, jeżeli w pewnej części są zorganizowane (o ile to można organizacją nazwać), to są zorganizowane przez Żydów. Myślę tu o chałupnictwie najrozmaitszego rodzaju. Myślę o tych hafciarkach z Podhala, które mistrzynie wyszywają wzory cały dzień za... 50 groszy do 1 złotego dziennego zarobku. Myślę o koronkarstwie polskiem, na którym przed wojną dorabiali się wiedeńscy Żydzi. Myślę o tym handlu wymiennym, jaki wszechwładnie rządzi życiem gospodarczym głębokiego Polesia. Myślę o handlu pierzem po wsiach, o tylokrotnie już omawianem szczegółowo owocarstwie polskiem i tylu innych produktach, które mają w swym ręku Żydzi (np. handel kwaszonemi ogórkami, — cała dostawa ich do sklepów w Warszawie jest zagarnięta przez Żydów).

Dlaczego wymieniam działy przez Żydów oprowadzone? Dlatego, że ci wszyscy handlarze, pośrednicy, ajenci i zbieracze drobnych ilości produktów po wsiach, — to nie bankierzy, nie kapitaliści, tyl-

ko — spryciarze, obracający maleńkim jakimś kapitalikiem.

Do ambulatorjum jednego ze szpitali warszawskich przyszedł po poradę ojciec z dzieckiem. Nędza aż biła w oczy. Zagłodzenie. Wywiad higienistki potwierdził opinię lekarza. Z doraźnej pomocy dano ojcu palto i 20 złotych na handel domokrażny, koszykowy. Rodzina dała sobie dalej radę sama. Ojciec obecnie handluje owocami i warzywem.

To jeden przykład. A teraz drugi. Swego czasu zdarzyło mi się opisać 2 szweców z Czerniakowa: żyda i chrześcijanina. Żyd z workiem pod pachą wędruje po wioskach i zbiera „robotę“, a choć biednie, ale żyje jakoś. A szewc - chrześcijanin siedzi w warsztacie i czeka na klientów, a w wyniku utrzymuje rodzinę z zasiłków „Caritasu“.

Po tym artykule senior szweców wystąpił do mnie z oficjalną reprimendą:

— Pani Żydów popiera — krzyczał. — Pani w honor rzemiosła uderza. Jakże to? To szewc polski ma z workiem na plecach chodzić? jak żebrak? Żyda nam pani za przykład stawia!

Co to było! Ojej! Jeszcze się boję. Ale czego? Tego, że — niestety — takich „szweców“ jest za dużo w Polsce, co korzystają z opieki społecznej, ale „honoru rzemiosła“ zmianą metod zdobywania klientów nie naruszają.

A teraz... co to wszystko ma do sprawy t. zw. feminizmu?

Bardzo wiele, bo kiedy mężczyźni nie chcą być na utrzymaniu żon (słusznie! Darmocha zawsze deprawuje), to niechże nareszcie zabierają się do produkcyjnej pracy rąk i mózgu, a nie czekają na „posady“ bez względu na to, czy są urzędnikami, czy robotnikami.

BEATA GAMARNICKA

## Zimowe konwalje

*Wątlemi anemicznemi dzwonekami,  
w pokoju pełnym zimy,  
ciepła pieca, dywanów,  
cieplarnianym seledynem liści  
przezroczystych, jak cera mizernych dzieroczynek,  
drwiąc z kalendarza o maju grają.*

*Trzeba zasunąć firanki, by nie przelękły się śniegu,  
trzeba przymołać na pomoc wspomnienia odległe,  
wykreślić mroźne miesiące,  
tkliwość odnaleźć w spojrzeniu,  
żeby odrodzić się gościom wiosennym  
wzajemnym złudzeniem.*



Pod szronem.

Fot. Poddębski.

# Matka

(Nowela)

Gdy przyjechałam do Cluj tej wiosny, mąż mnie uprzedził, że mamy nowych sąsiadów na naszym piętrze. Dawni, rodzina profesora uniwersytetu B., wyprowadzili się przed paru miesiącami.

— Szkoda — westchnęłam. Zawsze balkon jest prawie wspólny i musimy przechodzić przed ich oknami, aby się dostać do siebie. I kto tam teraz mieszka?

— Matka dawnego właściciela domu. Przedtem cały dom należał do niego, ale rozwiódł się on z żoną, za której pieniądze nabył dom, no, i musiał się wyprowadzić. Ale matka jego kupiła swoje mieszkanie na własność, więc została.

— Czy to Węgrzy, czy Rumuni?

— Zdaje się, że Żydzi węgierscy. Mąż starej damy był niegdyś słynnym adwokatem i pozostawił duży majątek. Ulokowali go w bankach węgierskich i wszystko przepadło. Dwa miliony... Teraz stara dama ma zaledwie z czego żyć. Z synów jeden doktor medycyny, nasz dawny właściciel, drugi, stary kawaler, prawnik, mieszka przy matce.

Nie interesował mnie specjalnie ten temat, więc rozmowa urwała się na tem i nie myślałam już o nowych sąsiadach. Zresztą w Cluj spędzałam zazwyczaj trzy lub cztery tygodnie i kwestja takich lub innych sąsiadów niewiele mnie obchodziła. Tyle było do omówienia i do zobaczenia przez czas tej krótkiej bytności...

W parę dni potem, wieczorem, siedziałam przy otwartym oknie. Zachodziło słońce. Cudne wzgórze siedmiogrodzkie, falujące miękką przedziwnie linją, bielily się i różowiły, całe w kwiatach, daleko, za miastem. Czasami machnął nad nimi szarym pióropuszem dymu przelatujący pociąg i zmacił na chwilę słoneczno - kwiecistą harmonję barw. Ale tylko na chwilę, bo potem znowu rozpylała się nad białoróżowemi wzgórzami światłość wieczorna i wszystko kwitło i oddychało spokojnem, młodem życiem wiosny.

Wysoka, strzelista wieża średnio-wiecznej katedry i dwie wieże z okrągłemi kopułami kościoła Franciszkanów rysowały się delikatnie, niby obwiedzione lekką poświatą, na błędnym już niebie. Ale najciekawszą była prastara wieża straży ogniowej, gdzie odwiecznym zwyczajem siedmiogrodzkim musi dzień i noc czuwać strażnik nad bezpieczeństwem miasta. Nocą pali się tam czerwone światło. Dawniej były to pochodnie, później

lampy, dziś elektryczność. Mniejsza o to. Sam zwyczaj pozostał i to najważniejsza.

Właśnie zapalono już owo światło i wyglądało ono dziwnie jakoś w mocnym jeszcze blasku wieczoru. Patrzyłam na nie, myśląc mimowoli o tylu innych pokoleniach, co spoglądały, jak ja, na to światło porą wieczorną, gdy nagle lekki cień padł na balkon. Stała tam postać kobieca, bardzo wiotka, średniego wzrostu, ubrana w blade - fiołkową robe d'intérieur, haftowaną w jakieś kwiaty i desenie. Włosy, szwizną przyprószone, musiały być dawniej bardzo czarne. Trochę za dużo ich było do rozmiarów niewielkiej głowy. Widziałam tylko plecy tej kobiety, jej małą głowę i duży węzeł siwiejących czarnych włosów.

Domyśliłam się, że musi to być pani Nagy, moja nowa sąsiadka. Ktoś ze znajomych opowiadał mi o niej, że była bardzo piękna. Była... co za smutne słowo, gdy chodzi o osobę żyjącą.

Ktoś zawołał na nią po węgiersku z głębi domu, ostre gardłowe nieco dźwięki przecięły ciszę wieczoru. Pani Nagy odwróciła się z wolna i weszła do otwartego pokoju. Miałam tylko czas zauważyć bladą, wąską, niemal wychudłą twarz, przypominającą trójkątne twarze ulubionych heroin Gabryeli Zapolskiej i wielkie, bardzo piękne, czarne oczy. Skłoniłam głowę i odebrałam w odpowiedzi lekki, ale uprzejmy ułkon.

— Prawdopodobnie — pomyślałam sobie — pani Nagy należy do tych Węgrów starej daty, którzy nie lubią Rumunów, a ja przecież dla niej jestem Rumunką.

\* \* \*

Myliliłam się jednak. Pani Nagy nie miała żadnych antypatyj narodowych, ani religijnych. Może dlatego, że pochodziła z rodziny żydowskiej, której część osiadła w Wiedniu, może dlatego, że nie leżało to w jej charakterze. Nie poruszałam z nią zresztą nigdy tych spraw. Wypadkowo dowiedziałam się raz, że miała w rodzinie Arjan, możliwe, że sama była Arjanką. Arjanie, owa niegdyś licznie w Polsce przedstawiana sekta, dziś istnieje, zdaje się tylko w Siedmiogrodzie, a centrum jej jest Cluj (czyt. Kluż). Tu mieszka „biskup” arjański, tu znajduje się ich gimnazjum, ich kościół biskupi, bez krzyża. W gorące dni wiosenne i letnie kościół ów często jest

otwarty na oścież. Wieje zeń straszny grobowym chłodem, którego rozproszyć nie może nawet znojne lato tamtejsze. Pusto w tym kościele i zimno, i duszno. Jakaś czarna tablica, zamiast ołtarza i nagie ściany.

Jeżeli jednak wchodziłam tam czasem, to jedynie dla starych płyt mogilnych, ustawionych w przedstonku. Była tam między innymi płyta jakiegoś polskiego Arjanina, jakiegoś szlacheca, co musiał na wzór Piotra z Goniądza z drewnianym mieczem u boku chadzać, a nieskończone dyskusje teologiczne prowadzić, bo nawet długi napis na grobowcu nazywa go: „pastor disertissimus”, najwymowniejszy z pasterzy. Zamianował się też „biskupem polskiego kościoła”, jak głosi napis „umarł na wygnaniu”.

Takich polskich wspomnień i nagrobków znalazłoby się sporo w Siedmiogrodzie, bo po strasznej zbrodni Krzysztofa Arciszewskiego, później słynnego wodza i bohatera, osady arjańskie w Polsce upadły i Arjanie woleli uchodzić do Siedmiogrodu, naówczas wolnego księstwa.

Dom, w którym mieszkałam w Cluj, dotykał właśnie arjańskiego gimnazjum i kościoła i z tej racji „zgadało się” raz coś z panią Nagy o Arjanach, zwanych w Cluj „unitarii”, unitarjuszami. Poza tem nie dotykałyśmy nigdy żadnych kwestyj narodowych czy religijnych.

Poznanie się nasze było, że tak powiem, zupełnie banalne. Wychodziliśmy właśnie na miasto, pani Nagy stała na balkonie. Mój mąż przedstawił mnie i objaśnił pani Nagy, że jestem zarazem Polką i Paryżanką. Spojrzała na mnie z ciekawością:

— Paryż... Byłam tam kilka razy za czasów mej młodości. Cudne miasto. Musi mi pani kiedy opowiedzieć o Paryżu, jak teraz wygląda.

— Bardzo chętnie, kiedy pani zechce — odpowiedziałam i na tem się skończyła nasza pierwsza rozmowa. Mówiliśmy po niemiecku, gdyż ani mąż mój, ani ja nie umieliśmy po węgiersku, oprócz paru zdań, a pani Nagy skarżyła się, że zapomniała po francusku. Przekonałam się potem, że miała niezły akcent, ale brakło jej słów. Po rumuńsku mówiła nieszczególnie, o wiele gorzej odemnie.

Znajomość nasza była dość dziwna. Nie oddawałyśmy sobie wizyt. Rozmowy nasze miały miejsce albo na balkonie, albo u mojego

otwartego okna. Kiedy siadałam rano lub wieczorem przy oknie, z książką, czy haftem w rękę, nagle cień lekki padał na karty książki, lub na kanwę czy płótno i pani Nagy cichym, jakby trochę zmęczonym głosem, mówiła mi „dzień dobry“, lub „dobry wieczór“, stosownie do pory dnia.

Zawiazywała się rozmowa dokola czytanej książki czy haftu, zrazu grzeczna i banalna, potem czasami zjawiały się cieplejsze akcenty. Śliczne, sarnie oczy patrzyły na mnie w pół - lekliwie, w pół-badawczo, mówiąc więcej niż słowa. Czytałam w nich wiele smutku i tej biednej bezradności, którą miewały kobiety dawniejszego pokolenia, urodzone i wychowane pod czyjąś troskliwą opieką, przyzwyczajone do życia w dostatku, gdzie zawsze ktoś troszczył się o nie, a potem wytracone nagle z równowagi przez ciężkie warunki powojennego życia. Ale pani Nagy należała stosunkowo do uprzywilejowanych. Miała małe dochody, wystarczające na to co nazywamy „skromnem, lecz przyzwyczajonem utrzymaniem“, miała dość niezdatną, ale pracowitą i czystą służącą, a nadewszystko dwóch synów, jak dęby, pracujących na siebie, — doktora i prawnika. Ten ostatni mieszkał z nią nawet i prawdopodobnie opiekował się nią. Dziwnie wyglądała drobna szczupłutka kobieta obok swoich rośliwych, tęgich synów. Była w każdym razie o wiele bardziej dystygowana i tem, co Francuzi nazywają „fine“, niż oni obaj. Mimo swego wieczystego fiołkowego szlafroka z chińskiego jedwabiu z przepyszny haftem, pani Nagy była damą w każdym calu.

Zauważyłam też jeszcze raz to, o czem wielokrotnie się już przekonałam, a mianowicie, że mimo naszych patentów i dyplomów uniwersyteckich, dawne kobiety wcale nie były głupsze od dzisiejszych. Pani Nagy czytała bardzo dużo, miała swój sąd o wielu pisarzach francuskich, angielskich i naturalnie niemieckich i węgierskich. Z ogromnem zajęciem wypytywała mnie o teatry paryskie, o nowe sztuki, opery, koncerty. Odkryłam, że namiętnie lubi muzykę.

„Czemu pani nigdy nie chodzi do opery? Przecież opera w Cluj jest wcale niezła. Przyjeżdżają też często słynni artyści włoscy, polscy i niemieccy. Mogłaby pani pójść na koncert jednego z nich. Teraz niedawno grano „Lohengrina“, partję Ortrudy śpiewała słynna artystka rosyjska. Pani, która tak kocha Wagnera...“

„Byłam parę razy w Bayreuth z moim mężem i sama. Ach, cóż-bym dała za to, aby tam jeszcze raz pojechać! Muzyka to największa rozkosz, najdroższa pociecha... Ale, widzi pani... — tu głos jej drgnął lekko i załamał się — ja nigdy nie wychodzę z domu. Mam wadę serca, męczy mnie schodzenie po schodach, a zwłaszcza wchodzenie. Windy przecież tu niema, a mieszkam na trzecim piętrze. Nawet nie ubieram się nigdy, bo i to mnie męczy. Najlepiej mi w tym starym szlafroku. I do dała z pewną rezygnacją, — mam radjo“.

Wiedziałam coś o tem, bo nie cierpię radja, a musiałam go słuchać dzięki memu sąsiedztwu od rana do wieczora. Wiedziałam też, że przesiadywała przy niem dłu-

gie godziny. Lubila przeważnie dobrą muzykę z dodatkiem sentymentalnej. Lecz gdy wieczorem przychodził jej syn, prawnik, słyszało się tylko operetki w lekkim bardzo stylu, lub speaker'ów podających nowiny polityczne.

Uderzyło mnie także z czasem co innego. Jeżeli pani Nagy nigdy nie wychodziła z domu, to nigdy też nie przyjmowała żadnych wiyt. Dlaczego? Czy i to ją męczyło?

Z czasem zaczęłyśmy mówić i o sprawach osobistych. Poskarżyła mi się raz na swą ex-synową, właścicielkę domu, która nie szczeniła jej przykrości. Ale skarżyła się w sposób dyskretny i trochę naiwny.

„Mój biedny syn nie miał szczęścia. To jest „eine ganz gewöhnliche Personé“ — zupełnie ordynarna osoba“.

Bardzo jej się widać spodobało to wyrażenie, bo go stale używała.

— Syn pani, zdaje się, żonaty po raz drugi?

— Nie, po raz trzeci, ale za każdym razem źle trafiał. Biedny chłopak. Ach, dzieci, dzieci i tak-by się chciało widzieć je szczęśliwe, a nic na to poradzić nie można. Moi synowie są bardzo dobrzy, wykształceni, ale jakoś im się nie szczęści. Oczywiście niema w tem ich winy. Tylko jednym na świecie się udaje, a drugim nic. Ot, pani wyszła zamąż za cudzoziemca i trafiła pani jednak dobrze. Jest pani szczęśliwa i mąż pani też. Tak być powinno. A mój biedny syn miał już trzy żony i zawsze był nieszczęśliwy z każdą.

(D. c. n.).

Giorgia Pisani

## JAK KOCHANO PRZED STU LATY

Przekład Zuzanny Rabskiej

Ilustracje St. Bobińskiego

Wydanie Tow. Wyd. „BLUSZCZ“

Cena luksusowego egzempl. zł. 8.—

Książka ta to dzieje romantycznej miłości Elżbiety Barrett - Browning i Roberta Browninga, oparte na korespondencji dwojga poetów angielskich. Książka aktualna i specjalnie interesująca spowodu wystawienia sztuki „MISS BA“ na ten sam temat.

# Córy Indji

## UCIECZKA PRZED MUNSOON'EM DO MUSSORIE

Kiedy już trudno było wytrzymać z tym przeklętym monsoon'em w dolinie Duna, jechało się nagwałt w góry, do najbliższej stacji klimatycznej w Himalajach, do Mussoorie, zawieszanej na wysokości 7.500 stóp nad bezdennymi uroczyskami i przepaściami.

Ale co to jest właściwie monsoon i dlaczego przeklęty? Niszczycielska ulewa tropikalna, w naszym pojęciu zbliżona do katastrofy powodziowej, skoro co parę godzin ma się oberwanie chmury i tak przez stodwadzieścia dni zrzędu!

Gdy po ośmiomiesięcznej posusze (kurz wali prosto z nieba, a ziemia cała zamienia się w popiół prawie) nadechodzi pierwsza „wiosenna” zawierucha przy końcu czerwca, — wita się ją z nieklamany entuzjazmem. Monsoon bierze początek na Cejlonie i w mgnieniu oka, bo zaledwie w parę tygodni, obejmuje cały półwysep indyjski wzdłuż i wszerz, znacząc wszędzie swe ślady bujną roślinnością flory podzwrotnikowej.

Ale gdy po paromiesięcznej wilgotnej sielance, mieszka się właściwie w wodzie, (żaden dach czy podłoga nie ostoi się potopowi), gdy się rozpoczyna również okres bujnego kwitnienia... w szafach, (suknie pantofle, torebki porastają zielonym meszkiem); gdy podczas krótkich interwali rozpoczyna się tak intensywne pocenie się ziemi, (temperatura wciąż 100° według Fahrenheit), że gęste kłęby pary wdzie-

rają się do wnętrz mieszkaniowych, no i gdy zaczynają jeść żywcem człowieka moskity i komary, a wśród nich plaga—plaga anofeleśy malaryczne; gdy wszystkie gady i płazy mniejszego kalibru, jaszczurki i polne sznurki — (to znowu dzuma!) pająki i skorpiony (ukąszenie — niechybna śmierć!) ciągną gremjalnie do bungalows — życie białego człowieka przekształca się w nieustanną walkę o całość swej skóry z wrzosem i mocami przyrody.

Najgorszym miesiącem monsoonowym na półwyspie — jest wrzesień.

Kto zdrow, a nie roztrzęsiony jeszcze na amen przez żółtą febrę — ucieka w góry. Każde większe skupisko wychodźców z Europy postarało się o własną oazę w Himalajach czy na stokach mniejszych gigantów zw. „błękitni”, Nilgirls czy też w boskim Kaszmirze. My z doliny Duna mieliśmy czarującą podróż do Mussoorie z malowniczym widokiem na ośnieżone szczyty majaczące w obłokach Tybetu.

Gdy się już do niej wdarło z mozołem niebylejakim, ostatnie kilkanaście mil huśtając się w riksze, lektyce niesionej po krętych ścieżkach przez laskonogich i skośnokochanych szybkobiegaczy — czuło się dosłownie osadzonym na szklanej górze. Świat się kurczył naraz, rozpląwał w płonących pod nami obłokach i nie docierał nawet słabym echem swej codziennej wrzawy — na te wyżyny. Zdawało się chwila, że wystarczy oto nieopatrnie wychylić się z jaskółczego balkonu lub przystanąć nad stromym, śliskim spadem skalnym — a polecie się wdół głową w rozwarte głębokie szczeliny, w samo serce ziemi.

W Mussoorie panują już wyraźnie obyczaje tybetańskie, ludność o gładkiej cerze koloru dojrziałych śliwek i rysach mongolskich, jest dyskretna i tajemnicza w zachowaniu się. Wyznaje Buddę i Krisznię na zmianę. Autochton tutejszy, z goloną gładką jak arbuz głową, krzepki i rzeźki (plemię wojowników), paraduje w futrzanej, rogatej

czapie, a połowica jego nosi krótkie, faldziste spodniczki, zwinna jest jak gazela i często się uśmiecha.

Cały handel ześrodkowany jest w rękach Japończyków i Chińczyków; (co za krepdeszyny i cud—kimona!) Ile też uniżonej grzeczności i przypochlebiań, gdy do sklepu wchodzi prostoduszna, olśniona wciąż egzotyką Europejka. Jak głupia mucha wpada wnet w rozstawione misternie sieci skośnokochanego pająka — handlarza zleżałym towarem.

Późnym wieczorem cała Mussoorie żarzy się od wzorzystych, różnokolorowych lampjonów wiszących tu gęsto w witrynach sklepowych, przy herbaciarniach (elektryczność wyprodukowana ze spadu wód — jest chyba najtańsza na kuli ziemskiej!), a przez cały dzień i noc grają perliście małe, srebrne dzwoneczki, któremi udekorowana jest każda lektyka. O tramwajach czy autobusach nie może tu być mowy, gdyż żadna podobna bestja nie zmieściłaby się na wąziutkich drożynach—serpentykach.

Przepych podobnych, prywatnych pojazdów jest przytłaczająca, ubóstwo wynajmowanych — upokarzające. Im wyżej urodzona osoba pół-leży w lektyce, przesłoniętej często zasłonkami z adamaszku (to znaczy jedzie czarnogłowa) — tem liczniejszy jest orszak gwardji przybocznej. Dwunastu pachołków jednakowego wzrostu w barwnych raczkanach, turbanych czy kołpakach dźwiga uroczyście kute miedzią lub srebrem zgrabne palankiny — kołyski, w których raczą zasiadać dostojne osoby. Długa litanja imion tych wybrańców losu wymawiana jest z nabożeństwem przez gawiedź uliczną. Są — jak liczni bogowie na niedostępnym Olimpie.

Nie brak oczywiście i lokalnych sensacji: oto jeden z satrapów kolorowych spędza właśnie miodowe miesiące z platynowłosą oblubienicą, której się zachciało — „bajki arabskiej”. Lektyka nowożony ma formę białego łabędzia, a pachołkowie, dźwigający ją, ustrojeni są w żupany ze złocistego aksamitu. Jest i żałobnica smętna, urodziwa pono i młoda (skąd ta wersja, skoro nikt nie widział szczególnie zawołanej jej twarzy?). Uduje się ona co dnia na spacer w swym kośzyku w otoczeniu służby ubranej w czarne aksamity i turbany o jaskrawym kolorze mandarynek. Kolor pomarańczowy oznacza tu protest.



Typ góralki z Himalajów.



Rani jest wygnanką, skazaną na dożywotnią banicję za to, że, miast następcy tronu, powiła swemu udziałnemu księciu — bliźniaczki córki. Biada występnej! Wyklęta wraz ze swym niepożądanym potomstwem, osadzona została w górach, zdala od dworu, łask i pieśczęt swego władcy, który nie o mieszkaniu poślubił co rychlej innej wybranki.

Po przybyciu do Mussoorie stajemy w malowniczo zawieszonym hotelu, noszącym niezmienną nazwę „Cecil“. Oczywiście przesiąknięty jest od parteru po płaski, kamienny dach dystygowanymi materjami i gustami — „made in England“. Niema chyba mowy, aby w snobistycznym tem, anglosaskim otoczeniu można było się zetknąć z obywatelami kolorowemi.

Aliści mam wyjątkowe szczęście! Niemal na drugi dzień po przybyciu do „Cecilu“ zjawia się u mnie właściciel zakładu, szarmancki eks-wojskowy i zapytuje, czy bym nie była tak uprzejma i nie zgodziła się zamienić mego zacisznego apartamentu wychodzącego balkonem i oknami na dalsze partje gór, na bardziej okazały i komfortowy, ale po tamtej stronie domu, zwrócony na deptak i podjazd hotelowy. Bo do pensjonatu ma zjechać pewna kolorowa dama, żona przemysłowca z Delhi, która jest... „purdah“, prosi więc o apartament oddalony od oczu... Europejczyków.

Zapowiedź tę witam radośnie i chętnie się godzę na zamianę. Myślę, że to nie nowe, wolnomyślne prądy, lecz poprostu czasy kryzysowe skłoniły właściciela „Cecilu“ do uczynienia podobnego ustępstwa.

Nowy gość zjeżdża na drugi dzień o świcie we własnej lektyce, z własną służbą. Pani jada u siebie, na spacer i wizyty do lekarza udaje się w szczerze ufirankowanej riksze, nie widzi się jej i nie się o niej nie wie.

Nachodzę ją wreszcie w bibliotece, pokoju zacisznym, rzadko odwiedzanym przez gości hotelowych. Gdy się do niej zbliżyłam obcesowo i przedstawiłam — osłupiała. Czytała właśnie z przejęciem „Times“a“ londyńskiego. Była to osoba niemłoda, wcale nie uszinkowana (obyczaj tutejszy rozkazuje czernić czy tuszem roślinnym nawet paroletnim dziewczynom!) ani obwieszona świecidełkami — jak się do tego przywykło. Białe, skromne Sari i czerwony groszek, namalowany na osłoniętem czole, tak bardzo nie pasowały do brzydkich amerykańskich okularów rogowych i miny sawantki.

Przyznam się, że musiałam użyć niemało sprytu i uporu, aby nową znajomą wciągnąć do rozmowy. Uśmiechała się wciąż z bezbronnem zażenowaniem, a ja miałam wrażenie, że spłoszona byle czem — uieknie mi, jak przepióreczka. Lody pękły nadspodziewanie, gdy usłyszała, że jestem... Polką. „Times“ odłożony został na stronę, a kilka zaledwie rzeczowych pytań czekoladowej Pani zaświadczyły, że mam do czynienia z osobą wykształconą i interesującą się całym światem

Rozstałyśmy się, zadowolone ze siebie i.. wyznaczyłyśmy sobie tajemni ze rendez-vous w tej samej czytelnicy, za parę dni.



Uwspółcześniona córka Indji.

## MY MUSIMY WCZEŚNIE WYCHODZIĆ ZAMAŻ

Na randkę z kolorową panią stawiłam się punktualnie. Przyniosłam ze sobą sto niepokoju i sto pytań na ustach. Należało być jednak bardzo ostrożną... Nowa znajoma, o tajemniczym sposobie bycia, przyznała mi się, że dopiero po raz wtóry w swym życiu ma okazję rozmawiania z Europejką. Wstydzi się, przede wszystkim, swej łamanej angielszczyzny, którą nabyła dopiero w latach ostatnich, asystując lekcjom swych dzieci.

— Jakże to być może, mieszka Pani w stolicy, jest żoną znanego działacza?

— Nie odczuwałam nigdy potrzeby życia towarzyskiego w tem znaczeniu, jak to jest pojęte na Zachodzie. Wystarczał mi najzupełniej mój dom i liczne obowiązki rodzinne. Dopiero po odchowaniu pięciorga dzieci mogę pomyśleć o sobie, aczkolwiek wielki to dla mnie wysiłek moralny taka wycieczka samopas. Panicznie lękam się towarzysztwa *obcych* ludzi i przymusu dostosowania się do nich... (uśmiech pełen zażenowania).

— I wystarcza pani takie.. zamknięcie?

— Osobiście nie odczuwałam w tem *nigdy* specjalnego upośledzenia. My tu żyjemy klanami — rodzice, liczne rodzeństwo, dużo więc roboty przy gospodarstwie. Zresztą nikt mi nie zabraniał w domu czytać, interesować się mu-

zyką czy polityką, a mąż wtajemniczał mię zawsze w każde przeżycie swej pracy zarobkowej.

— A praca społeczna, nie pociągała panią nigdy?

— O! każda obywatelka hinduska ze sfery inteligentniejszej ma tej pracy poddostatkiem... nie wychodząc z domu. My żyjemy w bliskim kontakcie z ludem. Każdy bez wyjątku zamożniejszy dom hinduski obsługiwany jest przez liczną służbę; tego wymaga kastowość. Ludzie ci żyją obok nas przez długie lata, mają swoje liczne rodziny, niedole, bolączki; gdy są oddani, przychodzą do swych chlebobawców w każdej biedzie.

— A pani córki?

— Zrobiłam wszystko, żeby je wykształcić. Obydwie zamężne. Starszej, tak samo jak mnie — wystarcza dom. Ma już troje drobiazgu. Młodsza... — tu czekoladowa dama zamyśla się na chwilę — o, młodsza jest światową niewiastą. Lubi podróżować i próbuje rozmaitych sportów. Obawiam się tylko...

— Czego się pani obawia?

— Że ten *nowoczesny* sposób życia wpływa ujemnie na jej macierzyństwo. Już trzeci rok jest po ślubie i nie śpieszno jej...

Uśmiecham się leciutko.

D. C. N.

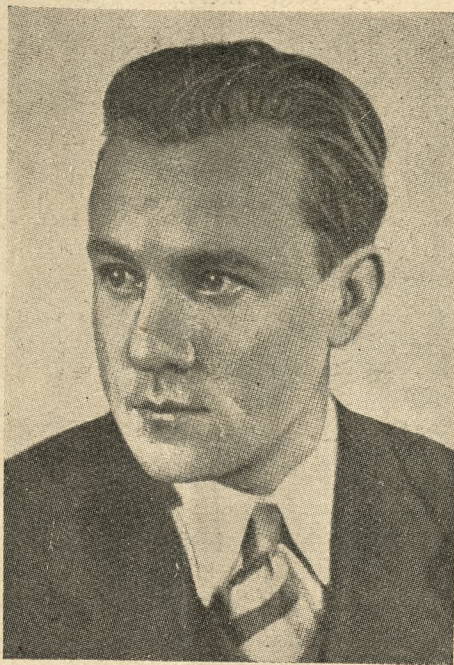
# Z życia literackiego

## JALU KUREK—LAUREAT NAGRODY MŁODYCH

Drugim laureatem Nagrody Młodych, ustanowionej przez Akademię Literatury — po zeszłorocznym Choromańskim — jest Jalu Kurek. Wyrok jury akademickiego opiewa, że nagroda przyznana mu została za fragmenty powieści „Grypa szaleje w Naprawie”, zamieszczone w pismach w roku 1934. Dlaczego za fragmenty, a nie za całość? Bo nagrodę Młodych przyznaje się tylko pisarzom, którzy nie skończyli trzydziestu lat. Jalu Kurek urodził się w 1904 roku, zatem powieść jego, która ukazała się w r. 1935, nie miałaby już prawa do nagrody.

Trochę to żaluje martwą formalistyką, co słusznie podkreślił Artur Prędkowski, w swoim artykule o nagrodach i stypendjach literackich, zamieszczonym w Polsce Zbrojnej. Dzięki temu ograniczeniu wieku o Nagrodę Młodych nie może ubiegać się n. p. najwybitniejsza bezwzględnie z pośród naszych młodych prozatorów Pola Górajczyńska. Jedno z pism codziennych przed posiedzeniem jury podało sylwetki kilku domniemanych kandydatów. Był pomiędzy nimi także Jalu Kurek, była i, znana czytelnikom „Bluszczu”, Elżbieta Szemplińska, było i paru innych, niewątpliwie utalentowanych literatów. Być może, że ostatecznie szalę zwycięstwa na stronę Kurka przechylił właśnie ten wiek prekluzyjny. Za rok już nie miałby prawa do nagrody. Jednym słowem — ostatni dzwonek.

Nie ulega wątpliwości, że Kurek wogóle zasługuje na nagrodę. Abstrahując od jego pierwszych kroków literackich, poetyckich i prozatorskich, które były właściwie poszukiwaniem własnej drogi wśród wielu wpływów, między innymi i Marinettiego, trzeba przyznać, że „Grypa szaleje w Naprawie” jest bezwzględnie dobrą i mocną powieścią, co więcej, jest pięścią między oczy bijącym plakatem społecznym, protestem młodzieńczym, bo pesymistycznym, bo niedającym ani środków naprawy, ani nadziei na wyjście z rozpaczliwej sytuacji. Może właśnie dlatego, że autor jest przede wszystkim artystą, nie reformatorem. Przypomnijmy sobie „Próchno” Berenta, obraz innego zgoła środowiska, ale równie beznadziejny, czy nie pozostał on dokumentem



Jalu Kurek

epoki? Podobnie i „Grypa” — miejmy na to nadzieję — pozostanie kiedyś dokumentem społecznym i ekonomicznym katastrofalnego położenia wsi polskiej w okresie kryzysu i świadectwem szlachetnego, choć besilnego protestu młodej literatury polskiej lat trzydziestych wieku XX-go.

Nagrodzona powieść przekonała nas i przekona prawdopodobnie i jej autora, że właściwą jego drogą jest proza, proza nasycona realizmem faktu i liryzmem postawy autorskiej wobec niego. Jest to liryzm-niejako zamaskowany, tkwiący potencjalnie w każdym odruchu poety, liryzm spokrewniający go duchowo z Żeromskim. Beznadziejność obrazów nędzy, zarazy, wysiłków człowieka, aby wyrwać się z samotności w ludzkiej gromadzie, aby być czemś, aby skonstruować swoje indywidualne życie i życie we dwoje, wykracza jednak daleko poza gorycz Żeromskiego, z której jak z ziarna gorczycy, wyrasta zawsze wielkie drzewo przyszłej, choćby dopiero marzonej szczęśliwości...

Śmierć, która kosi bezradną i wynędzniałą ludność wsi Naprawy i miasteczka Jordanowa, nie oszczędzając i rozbitków inteligencji, która czy to z musu, czy z dobrej i nieprzymuszonej woli zapadła w dżunglę tej podhalańskiej prowincji — ta śmierć ma wymowę, stłumiającą nieśmiało głosy życia i miłości, wymowę, wołającą o pomstę do nieba.

I może dlatego właśnie, powieść Jalu Kurka nie jest w ścisłym tego słowa znaczeniu rewolucyjną. Nie mówi, kto jest winien, nie pokazuje na nikogo palcem. Ale woła o pomstę, choćby tą pomstą miały być wagony kartofli, metry zboża i tonny miłości bliźniego, a przede wszystkim inny, racjonalniejszy ustrój społeczny.

A strona czysto artystyczna? Bardzo własna, ponura, jakby zgarbiona w swej skondensowanej mocy, spojrzenie na świat spodełba, a branie faktu za łeb, bez ceregieli, brutalnie, po chłopsku. Kurek nie zakrywa nagości, nie perfumuje brudu, ale nie tapla się w błocie, obcy mu jest snobizm zepsucia. Barokowe wpływy Marinettiego, Zwrotnicy i t. p. oblatują z niego, jak lakier pękający, w miarę, jak rozrastają się i prężą jego własne mięśnie twórcze.

Dojrzałość Jalu Kurka może nam przynieść jeszcze niejedną rewelację i niejedną zwrot. Jest to indywidualność mocna, nieustępliwa i rzutka. Nie wrasta bezpowrotnie w teren, szukając coraz to nowych punktów oparcia do poruszenia z posad bryły świata.

## WIZYTA FIŃSKIEJ PISARKI I STULECIE KALEWALI

Przybyła do nas na zaproszenie polskiego Pen-Clubu i wypowiedziała odczyt po niemiecku o Finlandji wybitna autorka fińska i sekretarka fińskiego Pen-Clubu od 1928 roku — pani Helmi Krohn. W Polsce jest nie poraz pierwszy. Przyjeżdżała do Warszawy, gdzie miała krewnych, jeszcze przed wojną. Dłuższy czas spędziła u nas sześć lat temu, podczas kongresu Pen-Clubów w Warszawie.

Pani Krohn jest kobietą, która z przedziwnie młodą lekkością nosi swoje 60 lat, wypełnionych po brzegi pracą literacką i kulturalną.

Jej pierwsze nowele zawierają analizę uczuć serca kobiecego, często w oderwaniu od miejsca, czasu, osoby. W tych utworach autorka oscyluje między odległymi wspomnieniami romantyzmu („Cierpienia młodego Wertera”) a wpływami nowoczesnej beletrystyki skandynawskiej. Utwory te powstały w końcu XIX i w pierwszym ćwierćwieczu XX stulecia.

Później z upodobaniem zaczęła uprawiać powieść biograficzną, wie

Ale największą jej zasługą są przekłady z obcych języków na fiński. Pozatem opracowywała zbiory bajek dla dzieci, była redaktorką kilku pism. Wogóle rozwija od szeregu lat niezmierną działalność kulturalno-literacką.

Czytałam w jakiejś wzmiance, że jej twórczość bardzo jest zbliżona do twórczości Zofji Nałkowskiej. Tego nie mogłam sprawdzić, gdyż nie czytałam ani jednej książki pani Krohn. Natomiast uderzyło mnie jej zewnętrzne podobieństwo do pani Anny Nałkowskiej, matki. Ta sama młodzieńczość ruchów i żywość ducha, co u naszej zasłużonej i jeszcze pracu-



Typ finki w starodawnym stroju ludowym.

jącej naukowo geografki. Nawet jej odczyt „Finlandja — kraj — ludzie — kultura” brzmiał raczej geograficznie, niż syntetycznie, informował, nie charakteryzował.

Przed nieliczną, ale wyborową publicznością prelegentka fińska wypowiedziała cały szereg zwyciężonych, encyklopedycznie ujętych wiadomości o Finlandji, które napewno większość słuchaczy zna ze szkoły średniej, a jeżeli nie zna, to łatwo może się dowiedzieć z pierwszej lepszej encyklopedji czy przewodnika.

Otóż z temi odczytami przyjezdnych zagraniczników zachodzi jakieś wieczne nieporozumienie. Albo oni nas niedoceniają, albo my mamy za dużo wymagań. Pani Helmi Krohn jest prelegentką doświadczoną. Podobno swój odczyt o Finlandji wypowiedziała kilkadziesiąt razy w Anglji, z którą utrzymuje bliski kontakt intelektualny, jako wiceprzewodnicząca tow. fińsko-brytyjskiego. Być może, że dla Anglików świat się kończy



Karczowanie lasu (z malarstwa fińskiego).

za granicami ich wyspy i kolonji i wszystko, co się im mówi o obcych krajach, jest dla nich rewelacją. U nas jest trochę inaczej. Dobrze, zadobrze czasem znamy Europę, w porównaniu ze swoją własną ojczyzną.

Szkoda, że pani Krohn nie opracowała dla członków polskiego Pen-Clubu odczytu na temat ściśle literacki. W roku bieżącym przypada setna rocznica okrycia „Kalewali”, ludowego eposu fińskiego przez Eljasza Lönnrota. Jakże ciekawem i pożytecznem dla słuchacza polskiego byłoby dowiedzieć się z ust fińskiej pisarki, jak ten epos powstał, jak rósł, jak był przyjęty przez inteligencję fińską, czem jest dla niej dzisiaj, jak ułożył się stosunek narodu do owego dzieła w perspektywie stulecia. Wstęp do fragmentu z Kalewali, w doskonałym przekładzie Jana Brzechwy, ogłoszony ostatnio w „Kurjerze Warszawskim”, więcej nas pouczył pod tym względem.



W łaźni fińskiej (z malarstwa fińskiego).

„Cała niepodległa Rzeczypospolita Finlandzka, cały świat fiński... świętuje uroczyste setną rocznicę odkrycia wielkiego eposu fińskiego Kalewali. Na rozliczne obchody, festiwale i akademje sproszono z różnych stron przedstawicieli środowisk literackich, ze szczególną jednak pompą podejmowani będą w Helsinkach wszyscy tłumacze poematu na inny język, a języków tych jest kilkadziesiąt... Dla uczczenia rocznicy, która stała się świętem narodowym Finlandji, rząd tego kraju wydał prawo, zezwalające obywatelom na zmianę nazwisk, posiadających obce brzmienie. Zgórą piętnaście tysięcy ro-



Muzealny strój fiński.

dzin wyraziło już chęć skorzystania z nowej ustawy.

To się nazywa gest! stworzyć taki żywy pomnik z nazwisk!

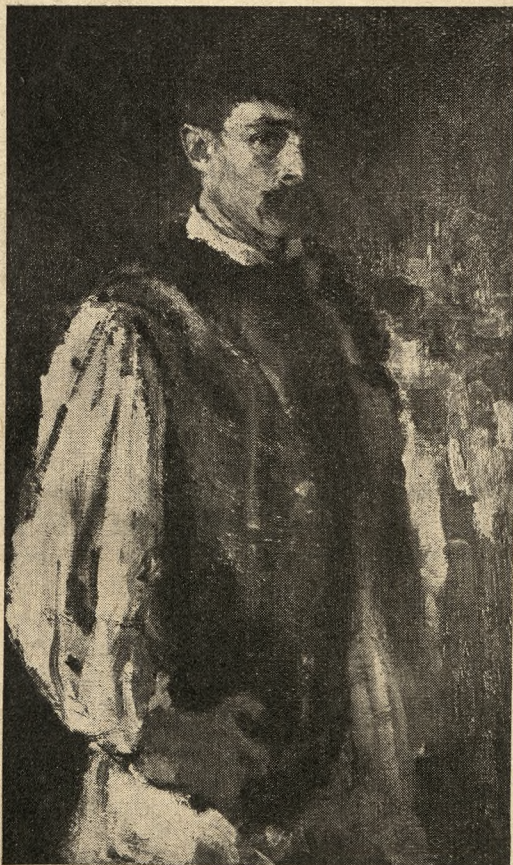
A potem coś z historii odkrycia Kalewali.

„W mroźny styczniowy wieczór 1835 roku na specjalnym posiedzeniu finlandzkiego Tow. literackiego zjawil się młody, trzydziestoletni doktor medycyny, Eljasz Lönnrot i przedstawił zebrany rękopis „Kalewali”, liczący 32 runy i ponad 19.000 wierszy”. Był to plon kilkuletniej pracy niezmięconego zbieracza pieśni ludowych, który pieszo wędrował na daleką północ, aby wprost z ust ludu czerpać w nieskażonej postaci fragmenty starodawnego eposu. Zasługą Lönnrota było powiązanie tych okruchów i szczątków w jedną harmonijną całość.

Niewątpliwie odczyt o „Kalewali”, sięgający do głębin duszy fińskiej, otwierający je dla oczu cudzoziemców, spotkałby się z dużym zainteresowaniem ze względu na aktualność jubileuszową.

# Witold Pruszkowski

„Genjalny artysta, serdeczny przyjaciel i kolega, a jako człowiek prawdziwy księżę niezłomny, czczony za nieugiętość swych zasad, kochany dla swych cnót i serca, umiłowany przez chłopów, wśród których mieszkał w Mnikowie, poszukiwany w towarzystwie wykwinnych umysłem ludzi dla swej wytwornej inteligencji. Nie obcą mieszkańcom Krakowa była jego oryginalna powierzchowność, strojna w burkę ukraińską lub czamarkę w czapce baraniej, coś Grottgerowskiego, coś co epokę 60-tych lat przypomina. To stopy ukraińskie, które go wypiastowały, ukształtowały mu ten typ, urobiły mu duszę. Rodem był z Pobereża, w Odesie i Kijowie wzrastał i rozwijał się. Na pozór chłop rubaszny, porywczy kozak, stawał się w chwili rozmowy rafinowanym Europejczykiem, synem starej kultury, która mu niezwykłą i subtelną dała inteligencję. W Paryżu i Monachjum gdzie się kształcił, nabył niesłychanie bujnej, wytwornej i misternej techniki, którą opanował do ostatnich granic“. Temi słowy kreśli, w dwa dni po zgo-



Witold Pruszkowski: Autoportret (olej)

nie Pruszkowskiego, 12 października 1896 roku, jego sylwetkę we wspomnieniu pośmiertnym Włodzimierz Przerwa - Tetmajer.

Ta, ciepłymi barwami malowana sylwetka, odsłania nam psyche Pruszkowskiego-człowieka, jako typowego epigona romantyzmu.

Obecna wystawa zbiorowa jego prac w Zachęcie skonfrontuje z nią Pruszkowskiego - artystę. I oto widzimy rzecz ciekawą: dwoistość. Poeta



Witold Pruszkowski: „Portret syna artysty z psem“.

kłóci się w jego twórczości z malarzem. Poeta ugrzązł po uszy w tradycjach romantycznych. Rozmiłowany w Słowackim dokomponowywał do poetyckich wizji Anhellego swoje malarskie wizje. Rozmiłowany w fantazji ludu ilustruje w sposób dla nas dziś już nieco ekliwy i jednostajny, podania i legendy ludowe: o zbójcu-Madeju, o kwiecie paproci, Smoku Wawelskim, o Zaduszkach, o Świteziance i t. d.

Te prace, zresztą dosyć liczne, nieinteresujące dziś jako temat, olśnie-



Witold Pruszkowski: „Kwiat paproci“.

wały podobno kolorytem który z latami zbladł i szerniał, smutny los wielu obrazów nowoczesnych, których skład chemiczny farb skazuje na przedwczesną śmierć w ciemnościach. Tak odchodzą powoli w nicość te dzieła, do których prawdopodobnie twórca największą przywiązywał wagę.

Ale obok kompozycji tematycznych wiszą w tej samej sali portrety, realistyczne a jednak pełne wyrazu, wybiegające niejako naprzód z epoki artysty, zarówno pod względem stosunku do modelu, jak i formalnego ujęcia tematu.

Dwa wpływy krzyżują się w tych portretach. Wizerunek syna artysty z psem zdradza wyraźne echa Matejkowskie. Nic dziwnego! Był to jeden z jego mistrzów. W innych, np. w autoportrecie, w portrecie brata, w portrecie Federowiczowej znać technię Maneta, z którego dziełami mógł poznać się w Paryżu.



Witold Pruszkowski: „Spowiedź Madeju”.

le pozatem emanuje z tych wizerunków ludzkich coś, co jest jego osobistą własnością: zdolność intuicyjnego wczucia się w duszę portretowanej osoby, zdolność wydobywania ekspresji środkami wyłącznie malarskimi. Pod tym względem jego portrety można porównać chyba tylko z młodszym od niego Krzyżanowskim, którego wystawę pośmiertną oglądaliśmy parę miesięcy temu w Ipsie.

Witold Pruszkowski, wielki samotnik, który unikał rozgłosu, a kochał sztukę, musiał budzić szczery entuzjazm wśród tych, którzy go znali bliżej. Dowodem słowa Włodzimierza Tetmajera, jak on malarza, chłopamana i romantyka, dowodem charakterystyki artysty we wstępie do katalogu wystawy, pióra Dr. Aleksandry Majerskiej i syna — Kazimierza Pruszkowskiego.

Słusznie zaznacza Dr. Mieczysław Sterling w „Kurjerze Porannym”, że postać i życie Witolda Pruszkowskiego jest ciągle wielką niewiadomą. Nie wiemy nic o najciekawszych momentach jego życia, kiedy powstawały najlepsze jego dzieła, domyślamy się tylko wielkiej walki wewnętrznej, jaka świadomie lub podświadomie toczyć się musiała w jego duszy między poetą-obywatelem, który za swój obowiązek patrijotyczny uważał tworzenie na podkładzie narodowym i ludowym, a malarzem — wolnym ptakiem, który do wlotu potrzebuje tylko koloru, światła i powietrza.

W bocznych salach mamy wystawę zbiorową prac Emilji Wysockiej, których, niestety, z braku reprodukcji nie możemy Czytelniczkom naszym przedstawić.

Są to głównie krajobrazy, malowane mocną zdecydowaną ręką, z dużym, czasem, aż za dużym rozmachem. Troska o wydobywanie silnych efektów kolorystycznych zaabiła w tych obrazach liryzm, ten liryzm, który dominuje np. u Stanisławskiego, a który przeradza się w dramatyczną dynamikę u Michaliny Krzyżanowskiej. Może dlatego twórczość Wysockiej właśnie w du-

szych wschodnich sąsiadów traktowana jako jeden z najsilniejszych i najskuteczniejszych środków propagandy, — ma przed sobą jeszcze niesłychane możliwości do osiągnięcia.

Coraz to więcej artystów i to artystów o poważnych aspiracjach nie gardzi grafiką użytkową, a nawet całkowicie jej się poświęca.

Jest to objaw niesłychanie pocieszający.

Sztuka na ulicę. Oto hasło dnia dzisiejszego, hasło, którego urzeczywistnienie sztuki nie poniży, a ulicę podniesie. Piękno musi się zdemokratyzować, nie być tylko przysmakiem, szczęśliwych wybrańców, ale stać się chlebem powszednim szerokich mas.

S. P. O.



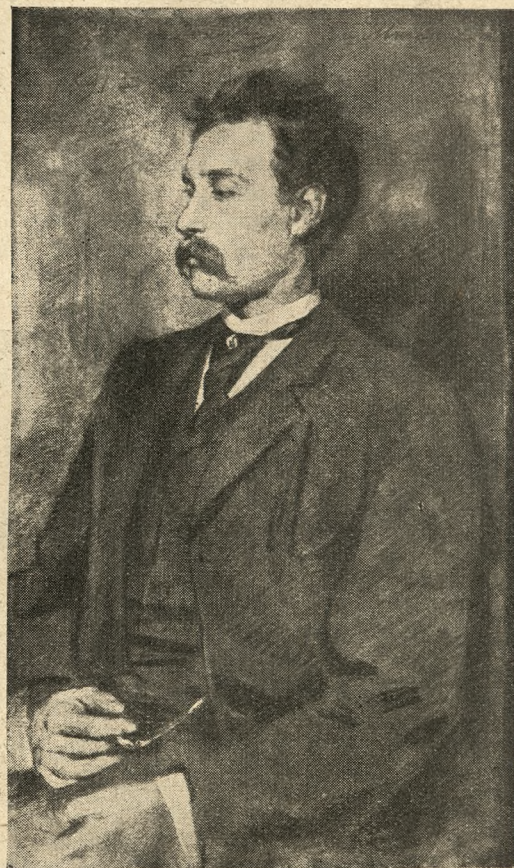
Witold Pruszkowski: „Portret Federowiczowej, art. dram.”

żem nagromadzeniu męczy, przytłacza, nie daje istotnego spoczynku i rozkoszy estetycznej, jaka płynie z każdego dzieła sztuki o zrównoważonych elementach.

Bardzo ciekawie przedstawia się dział grafiki reklamowej: projekty plakatów, afiszów, reklam, okładek czasopism i książek.

Z prawdziwą przyjemnością spotykamy tu dobrych znajomych: okładki „Bluszczu” projektowane przez świetnego grafika, prof. E. Bartłomiejczyka, parę okładek Bowbelskiego i innych.

Wogóle grafika użytkowa i reklamowa, u nas stawiająca dopiero pierwsze kroki, na Zachodzie coraz mocniej wrastająca w życie codzienne, a u na-



Witold Pruszkowski: „Portret brata artysty”.

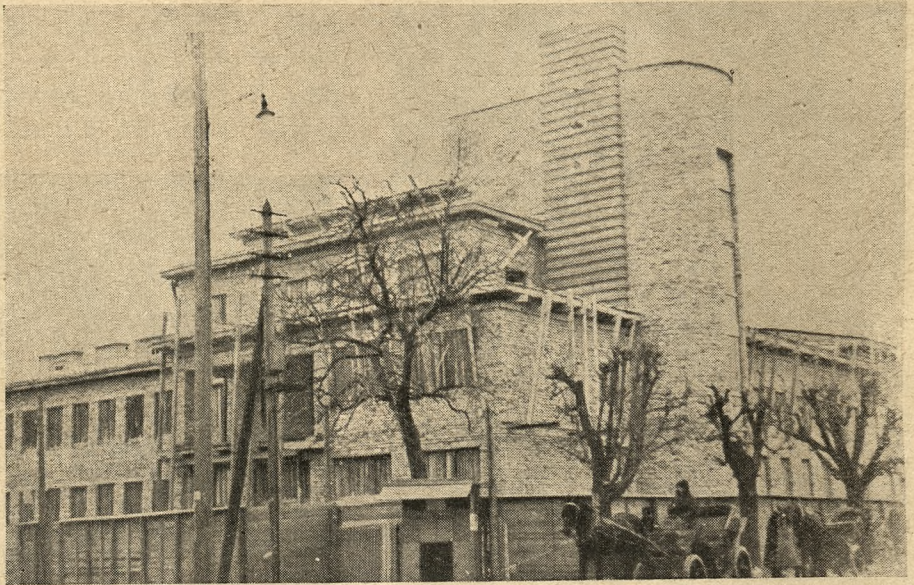
# Z Grodzieńszczyzny

## KOBIETA W ŻYCIU SPOŁECZNYM I KULTURALNYM GRODNI

Ziemia grodzieńska ze stolicą, Grodnem, w pojęciu wielu warszawiaków, zapadły kraj, dziki i nieznanany, gdzieś tam hen! daleko za siedmioma górami, za dziesięcioma rzekami, tętni samoistnym życiem, odrębnym nieco, często górnym i chmurnym, ale przeważnie znacznie głębszym i bujniejszym, niż sądzi o niem z oddali stolica.

A pewnie nie chodzą niedźwiedzie po ulicach, ani „chłopy“, zakutane w baranice, w łapciach i machorę kurzący w szerniałych zębach, jak to wyobrażał sobie doniedawna „kongresowiak“. Ale mkną w wiosennym słońcu smukłe sportsmenki na kort tenisowy, lub do Wojskowego Klubu Wioślarskiego. by pruć ramieniem o złotych ciepłych tonach, szarobłękitne, wartkie fale najpiękniejszego Niemna. Sportsmeni też się zdarzają. Naturalnie. Ród męski jest dość mocno reprezentowany w Grodnie. Mimo to jednak... niewiasty czynią ruch przeważnie w społecznych i kulturalnych organizacjach — wszędzie prawie większość kobiet i to najbardziej czynnych.

Towarzystwo Przyjaciół Literatury i Sztuki, mające duży wpływ na życie kulturalne miasta, prowadzone jest przez kobietę, Polski Czerwony Krzyż tak samo. Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet jest najbardziej ruchliwą placówką, działającą na terenie miasta i całego powiatu. Skupia najlepsze, najżywoźniejsze jednostki i ogarnia



Dom Strzelca w Grodnie.

całokształt życia. Wybory do samorządów gminnych wykazały już pewne zainteresowanie kobiet. W niektórych gminach zdołano przełamać tradycyjne niechęci „męskie“ do udziału kobiet w życiu samorządowym i przeprowadzono swoje kandydatki. Jest to ogromny sukces, gdy się weźmie pod uwagę nastawienie wsi w stosunku do równouprawnienia kobiet.

### W DWUDZIESTOPIĘCIOLECIE ŚMIERCI ELIZY ORZESZKOWEJ KONKURS NA SZTUKĘ SCENICZNĄ. — WYDANIE „AD ASTRA“

W maju roku bieżącego przypada dwudziestopięcioletnia rocznica śmierci Elizy Orzeszkowej.

W związku z tem, Towarzystwo im. Elizy Orzeszkowej, oddział w Grodnie, rozpisало konkurs na sztukę sceniczną 3-aktową, która ma być odegrana w teatrze miejskim w dniu rocznicy. Sztuka ma być związana z ideałami autorki „Nad Niemnem“, może też być przeróbką którego z jej dzieł. Nagroda wynosi 300 zł.

Towarzystwo im. Elizy Orzeszkowej w Grodnie urządza rokrocznie uroczysty obchód w rocznicę śmierci zasłużonej pisarki. Poza przemówieniami pod jej pomnikiem i składaniem wieńców przez delegację miasta, instytucyj i organizacyj, odbywa się stale akademja w teatrze miejskim im. Elizy Orzeszkowej. Na taki wieczór składa się przemówienie najczęściej jednego z profesorów wileńskich, parokrotnie prof. Limanowskiego, poczem odbywa się część artystyczna. Ostatnio odegrane były przeróbki utworów Orzeszkowej: Jednego roku „W zimowy wieczór“ w przeróbce scenicznego i reżyserji Zygmunta Tomaszewskiego, ówczesnego artysty teatru miejskiego w Grodnie. W drugim roku dana była „Pieśń przzerwana“, w przeróbce scenicznego Jadwigi Korulskiej.

Obecnie w dwudziestopięcioletnią rocznicę śmierci wielkiej pisarki, Grodno pragnie uczcić Jej pamięć wyjątkowo uroczystie. Poza nabożeństwem, obchodem pod pomnikiem i przedstawieniem w teatrze miejskim, Towarzystwo im. Elizy Orzeszkowej w Grodnie zainicjowało i przeprowadziło łącznie ze swą Centralą w Warszawie, wydanie nowego nakładu wyczerpanego zupełnie dzieła, dwugłosu „Ad



Zejsście od strony Starego Zamku do Niemna.

Astra". W niedługim już czasie ukaże się ono na półkach księgarskich.

Świadczy to o stałej pamięci i uznaniu tych nieśmiertelnych ideałów i wartości, jakie wносиła w życie i swoje dzieła ś. p. Eliza Orzeszkowa, którą, mam wrażenie, całe społeczeństwo, a w szczególności społeczeństwo grodzieńskie uważa zawsze za wielką pisarkę, dobrą Polkę i zasłużoną obywatelkę. Szczyci się też tem, że właśnie Grodno gościło ją u siebie przez czas dłuższy. Że w niem pozostawiła tyle pięknych wspomnień o sobie, pozostając w niem nawsze — nietylko widomie — zawsze świeżą mogiłą, lecz i stałą, nieprzemijającą emanacją swych myśli i czynów. One to nadają temu pięknemu miastu Batorego i Orzeszkowej specjalne piętno i charakter miasta o starych tradycjach, o specyficznym zabarwieniu i nastawieniu społecznym, o głębszych wartościach intelektualnych i duchowych

#### KLUB KOBIECY W GRODNIE

Energiczny i czynny Oddział Z. P. O. K. na terenie miasta zorganizował ostatnio nową placówkę, zapomocą której inicjatorce chciałyby zespolic wszystkie członkinie, a nawet idąc dalej, wszystkie kobiety w imię solidarności i wspólnych interesów.

Jest to Klub Kobiecy. Zainicjowany z myślą doprowadzenia go kiedyś do takiej wyżyny, na jakiej stoją angielskie i amerykańskie kluby kobiece. Naturalnie jest to muzyką dalekiej przyszłości i narazie pozostaje tylko w dziedzinie bogobojnych życzeń.

Narazie klub kobiecy posiada czytelnię pism codziennych i tygodników kobiecych. Urządzane są tam stale zebrania towarzyskie, koła pracy, kursy robót szydełko-



Fragment wystawy T-owa Popierania Przemysłu Ludowego

wych, kroju i szycia i t. d. a nawet... lekcje bridge'a.

Dążeniem jest stworzyć przy Klubie jakieś warsztaty pracy dla bezrobotnych kobiet, schronienie dla samotnych i t. p. Ale te szerokie projekty pozostają narazie w sferze marzeń niedościgłych z braku odpowiednich funduszy.

Wierzmy jednak, że przyszłość jest przed nami.

#### Z DZIAŁALNOŚCI SZKOŁY PRZEMYSŁOWO - HANDLOWEJ ŻEŃSKIEJ W GRODNIE

Państwowa Szkoła Przemysłowo-Handlowa Żeńska w Grodnie, istniejąca od roku 1921, początkowo jako Państwowa Szkoła Zawodowa niższego typu, stopniowo rozszerzała zakres swej działalności, dochodząc w chwili obecnej do poważnego rozkwitu.

Poza działem krawieckim (krój i szycie), modniarskim, czapniczym, ogrodniczo - przetwórczym,

proceedzi i dział handlowy, otwarty w 1932-im roku.

Organizuje również stale kursy wędrowne: szycia i kroju, tkactwa, oraz gospodarstwa domowego po wsiach i miasteczkach na terenie trzech województw: białostockiego, wileńskiego i nowogródzkiego.

Na terenie szkoły istnieją również kółka: krajoznawcze, ludoznawcze i fotograficzne, mające na celu zapoznanie wychowanek z terenem grodzieńszczyzny, oraz wydobywanie i utrwalenie cennych zabytków sztuki ludowej.

Ostatnio kółka te miały możliwość zaprezentowania wyników swych prac w postaci ciekawych zdjęć i zbiorów etnograficznych, na wystawie, urządzonej wspólnie w Grodnie z Towarzystwem Popierania Przemysłu Ludowego „Krajan”. Pokazano ciekawe zbiory wycinanek ludowych, pisanek, oryginalne pierniki, krzyże żelazne i drewniane, stroje ludowe regionalne i t. p.

Pozatem reprezentowany był bogato dział eksponatów samodziiałowych. Szkoła bowiem wpływa na swe wychowanki rekrutujące się z Grodna i okolic, w kierunku zrozumienia przez nie potrzeby samowystarczalności gospodarczej przez zastosowanie samodziiału i tkanin ludowych, w które tak obfituje grodzieńszczyzna, w krawiectwie, bieliźniarstwie, hafcie i galanterji. Bardzo pomyslowe były np. korale ze sznurka, kwiat i guziki z lnu i drzewa, laski, torebki i t. p. Suknie, płaszcze, fartuszki z samodziiału cieszyły się również dużym powodzeniem.

Wystawy tego rodzaju, urządzone dość często, wzbudzają zainteresowanie przemysłem ludowym szerszego społeczeństwa i mają naogół coraz większe powodzenie.



Dekoracja wnętrza

## Z teatrów

„Piękna Helena“ w teatrze Letnim.

„Młodość się klasycyzmu zrzekła“... Nie wiem dlaczego ten refren, którego wcale nicma w „Pięknej Helenie“, cały czas brzmiał mi w uszach. Później dopiero zrozumiałam, że to był głos podświadomości, echo zasłyszanych w dzieciństwie pogwarek starszego pokolenia o „Pięknej Helenie“.

Wyobrażam sobie, że w zeszłym stuleciu, w epoce t. zw. klasycznego wykształcenia, któremu dławiono najbardziej życiowe inteligencje i indywidualności, śmiała parodia postaci homeryckich musiała być paneuropejskim skandalem, gorzej niż odbronzowieniem Iliady, — profanacją. Dla nas dzisiaj cała celność tej zatrutej strzały jest efektem straconym.

„Piękna Helena“ zgasła jako słońce parodji; świeci jak księżyc, blaskiem pożyczonym od teraźniejszości. Owe wkładki, zagadki, aluzje polityczne i literackie, oto — czem żyje rzeźka jeszcze, choć mocno nadwiedła jubilatka.

*Homer i Hemar!* Samo skojarzenie tych dwóch imion — to krótkie spięcie humoru. Mistrz lekkiej piosenki nie znęca się nad zdebronizowanym klasycyzmem, natomiast żądło satyry i kpiny wymierza w aktualność miłościwie panującą. Genewa i Akademia oto dwa nągniotki szczególnie czule, po których Hemar depce z upodobaniem. A że tam na prawo i lewo ten i ów oberwie, aż miło, to od tego przecież jest rewja... przepraszam, operetka, która jednak tak mocno ucharakteryzowała się na rewję, że trudno

pod szminką doszukać się prawdziwego oblicza. Złudzenie rewji potęgowała jeszcze supremacja aktorów nad śpiewakami. Jeden Conti, jako Parys, głosowo doskonale opanował partję. Modzelewska w roli „Pięknej Heleny“ wrodzonym swym lotrowskim wdziękiem, piękną aparycją i srebrem głosu nadrabiała jego nikłość.

Dymsza, Orwid, Kurnakowicz (Kalchas, Menelaus i Achilles) postękiwali i pomrukiwali w takt muzyki z tupetem świetnych komików. Lena Żelichowska wydzierała się, jak przystało rozpieszczonemu synalkowi królewskiemu. Chóry jednak i sceny zespołowe wychodziły o dziwo! bez poważniejszych kogutów.

Dekoracje i kostjomy Lorentowicz-Karwowskiej, raczej rewjowe niż parodystyczne. Pomieszanie barokowego i pretensjonalnego antyku z nowoczesnością niezawsze szczęśliwą i dostatecznie się tłumaczącą. Najlepszą była pięknie drapowana szata Heleny w drugim akcie i tuniki Orestesa, odsłaniającej smukłe nogi Żelichowskiej.

Królem widowiska był Dymsza, jako Kalchas. Niewiadomo dlaczego ucharakteryzowany na Mickiewicza, albo na secesyjnego peleryniarza.

„Piękna Helena“ w obecnej inscenizacji to ciekawy dokument gustu epoki. Dziennikarska aktualność jej dowcipów i aluzji wróży jej żywot sławny, ale krótki. Zmartwychwstanie po latach znowu, dzięki niesłychanej potencji własnej w innych, świeżych akcesorjach, które narzuci jej życie. Cieszymy się narazić z tych, które mamy przed oczyma.

„Niebieskie migdały“ Chlumberga w Ate-neum.

Wiadomo, że teatry wszechwładnego T. K. K. T. wylawiają co grubsze ryby dla swego repertuaru. Dla pomniejszych prywatnych scen pozostają tylko drobniejsze płotki, albo ryby suszone i marynowane, jednym słowem drugi i trzeci gatunek. Nadrabia się braki repertuarowe pierwszorzędną grą aktorską, ale i to nie zawsze skutkuje. Jeden z recenzentów napisał dowcipnie, że w Ate-neum grają Pirandella „dla ubogich“, a w Kameralnym Ibsena „dla ubogich“. Inaczej mówiąc, takie słabe wtórne, pomniejszone i zatarte odbitki.

Założenie „Niebieskich migdałów“ jest nieco sztuczne, ale ciekawie ujęte i przeprowadzone pomysłowo. Jest to odwrócony Pirandello. Nie „sześć postaci scenicznych w poszukiwaniu autora“, ale reżyser teatralny, wśród publiczności szukający aktorów, którzyby mogli zagrać *commedia dell'arte* na odwieczny temat: mąż, żona i ten trzeci. Niezawodne oko reżysera wyluskuje z widowni idealną parę: mąż — inteligentny tuman, żona — młoda, nierozumiana, nieobudzona. „Ten trzeci“ zgłasza się sam. Nie zniósłby, żeby ktoś inny miał grać kochanka tej kobiety, którą kocha, którą prześladuje swą miłością, prawie jej jeszcze nie znając.

Konflikt sceniczny, jaki zawiązuje się między trojgiem tych ludzi wedle ułożonego zgóry planu reżysera, staje się konfliktem istotnym. Wielka namiętność porywa w swój wir zakochaną parę. Już, już, zdaje się nam, że stoimy na progu katastrofy, aliści przedstawienie się kończy. Przypadkowo zaangażowani aktorzy mogą wrócić w swoje własne życie. I rzeczywiście wracają, ale już jako nierozłączna trójka...

Dzięki „Niebieskim migdałom“ poznaliśmy interesującą debiutantkę na terenie Warszawy, Łabuńską. Takby właśnie zachowywała się, patrzyła, ruszała młoda dama z towarzystwa, gdyby jej raptem kazano wyjść na scenę. Biegański doskonale zagrał męża — tumana, gorliwie zarabiającego na słusznie mu należne — rogi. Tym trzecim był „typ A“, już w roli mocno aktywnej, rozpalony do białości. Całkowita rekompensata za marznięcie w bramie i uleganie kobiecej supremacji.

S. P. O.

## Z ubiegłego tygodnia

*Wielka mowa min. Becka w Komisji Sejmowej. — Między sąsiadami. — Sojusze trwają. — Doświadczenia. — Na straży własnego dorobku. — Własna polityka i wymowa faktów.*

W ostatniej „kronice“ skierowałyśmy uwagę naszych czytelniczek na debaty w Komisjach sejmowych. W przemówieniach naszych ministrów ujęte zostały wszystkie zagadnienia naszego życia w



Modzelewska i Conti jako Piękna Helena i Parys.



państwie, a dyskusja dawała wyraz temu, co myślą o tych sprawach przedstawiciele społeczeństwa w Sejmie. Stanowisko tych przedstawicieli, określone ramami stronnictw, do których przynależą, było niejako skalą pojęć — od aprobaty poczynań rządu do opozycji przeciw temu rządowi. Ten „ruch“ w Komisjach, poprzedzający uchwalanie budżetu, jest w życiu parlamentarnym zawsze bardzo znamienne i emocjonujący.

Nie będzie przesadą, gdy powiemy, że z szczególnym napięciem oczekiwano mowy ministra spraw zagranicznych, p. Becka. Nasza polityka zagraniczna w ostatnich latach była bowiem i aktywna i mądra i celowa. Przegląd wydarzeń w roku 1934 uprzytomnił najlepiej te cechy naszej polityki zagranicznej, której zasadą jest podnoszenie prestiżu Polski i praca dla powszechnego pokoju. Minister Beck wskazał więc na rezultaty tych zamierzeń, tak dodatnie w ułożeniu się wzajemnych stosunków z oba potężnymi sąsiadami — Rosją Sowiecką i Niemcami, przyczem — jak powiedział p. Beck — nowe układy nie naruszyły nigdy w niczem naszych zobowiązań poprzednich. Nie straciła bowiem Polska swoich dawnych sojuszników — Francji i Rumunii, mimo niezależności swoich poczynań.

W chwili, gdy w Londynie zaczynały się rozmowy polityczne między ministrami Francji i Anglii — szczególnie ważny był ten ustęp z przemówienia ministra Becka, który wyjaśniał stanowisko Polski wobec projektowanego „Paktu wschodniego“. Przytoczymy więc słowa p. ministra: „Istnieją w tej dziedzinie aktualnie dwie negocjacje dyplomatyczne: pierwsza — dawniejsza, ciągnąca się od

czerwca zeszłego roku, to sprawa t. zw. Wschodniego Locarna. Nazwa ta jest nieścisła i dała od początku powód do wielu nieporozumień. Nie jest to właściwie ani „Locarno“ ani „Wschodnie“. Istotą układów locarneńskich była gwarancja Anglii i Włoch dla określonej granicy. Pakt obecnie proponowany, tej cechy charakterystycznej nie posiada. Zresztą nazwa nie jest z pewnością dla nas zachęcająca. Zrobiliśmy na układach locarneńskich doświadczenia złe, gdyż łączą się one w naszej pamięci z pewnym stylem polityki mocarstw zachodnio - europejskich, który się z naszymi żywymi interesami zupełnie nie liczył“.

— „Nie jest to również układ wschodni — mówił dalej p. min. Beck — gdyż zagadnienia Wschodu są w nim częściowo i niewystarczająco poruszone. Pakt ten, jak wspomniałem, jest nadal w negocjacji, a wszystkie, najdrobniejsze nawet okoliczności tej sprawy są dla nas szczególnie interesujące, gdyż odnoszą się do strefy naszych bezpośrednich, najżywoźniejszych interesów. Dlatego też musimy te wszystkie szczegóły starannie studjować, dbając przede wszystkim o to, aby nasz własny dorobek, uzyskany we współpracy z sąsiadami, a zmierzający do realnej stabilizacji stosunków na północnym wschodzie Europy, nie poniósł jakiegokolwiek uszczerbku“.

Tyle o pierwszym projekcie Paktu. Charakteryzując drugi projekt, wysunięty na zjeździe rzymskim — oświadczył p. minister Beck — że Polska śledzić będzie z zainteresowaniem i sympatją te poczynania państw, które mają na celu poszukiwanie lepszych form współżycia między państwami t. zw. basenu dunaj-



skiego, oraz ich bezpośrednimi sąsiadami.

Z wielkiej mowy ministra Becka wyjęliśmy specjalnie te punkty, które odnoszą się do „Paktu wschodniego“ i polityki naddunajskiej. Są to bowiem najaktualniejsze dziś motywy polityczne w Europie, a Polskę obchodzące bezpośrednio. Minister Beck, referując te zagadnienia, jasno określił linje polityki polskiej: „Jest to oczywiście polityka polska, nasza polityka własna. Może się jednemu podobać, drugiemu nie podobać. To jest ich dobre prawo. W naszych rachunkach będę się trzymał faktów“.

Mógł nasz minister z całą świadomością powołać się na wymowę faktów, które wskazują na to, że Polska w swoich dążeniach pokojowych dobrze zasłużyła się powszechności. Nasz bilans polityczny poważny i liczny pozycja na dobro sprawy pokoju.

W następnej kronice zajmiemy się zjazdem londyńskim i ogłoszoną na zakończenie obrad deklaracją. Zobaczymy, co tam starano się zrobić dla pokoju i czy te starania mają realne podstawy.

H. N.



Po odczycie Helmi Krohn o Finlandji w Polskim Pen-Clubie. Od lewej do prawej: poseł Finlandji, Jan Parandowski, prezes Polskiego Pen-Clubu, Helmi Krohn, Marja Kunciewiczowa, Eustachy Czekalski, Melchjor Wańkiewicz, Stanisław Rogoż.

# Przegląd prasy

„KARCZOWANIE POLSKOŚCI Z DUSZ  
NAJMŁODSZEGO POKOLENIA NA  
ŚLĄSKU OPOLSKIM“.

Wybitny znawca duszy ludu polskiego, Jan Wiktor, w zamieszczonym w I. K. C. z dnia 6 b. m. reportażu ze Śląska Opolskiego charakteryzuje ofenzywę germanizacyjną na polskość naszego ludu, zamieszkałego po tamtej stronie granicy polsko-niemieckiej na prastarych piastowskich ziemiach nad Odram.

Jednym z najważniejszych frontów tej ofenzywy jest stopniowe zatrucie duszy najmłodszego pokolenia polskiego szowinizmem niemieckim.

Oto sposoby, jakimi wyrывa mu się język jego ojców i poczucie narodowe:

Trzecia Rzesza szczególniejszą uwagę zwróciła na wychowanie dzieci i młodzieży; ujęto je w żelazne formy, w których kształtuje się dusza nowoczesna, dostosowana do dni dzisiejszych. Jednym z zadań jest wynarodowienie, czy wytępienie polskości.

Pracę zaczęto od najmłodszych. W ostatnich czasach z niezwykłym pośpiechem zakładają ochronki, wprost niemi sięją po małych wsiach, deskami zabitych.

Matki w polu, ojeowie przy pracy, więc też dzieci całej wsi się gromadzą. Dziecko przychodzi z domu polskiego, z którego wyszli nieraz najwięksi działacze, którzy wypełnili do ostatniego tchu swój obowiązek czy w pracy społecznej, czy w powstaniu, umie tylko po polsku; mówi tylko pacierz polski, nauczony przez matkę, babkę czy dziadka. Od pierwszej chwili po przekroczeniu progu ochronki zaczyna się nowe działanie. Zakonnice rozmawiają i uczą tylko po niemiecku, z ich ust nigdy nie padnie ani jedno słowo polskie, a przytem stosują najnowocześniejsze metody wychowania, tak skutecznie oddziaływujące na dusze. Językiem życia, językiem zabawy jest język niemiecki.

Pytam kierowniczkę, czy dzieci rozumieją to, co śpiewają.

— No... no... — zająknęła się nieco stropiona — nie, ale się przyzwyczajają.

Zrazu bezmyślnie powtarzają wyrazy dla nich obce, słowa pacierza niemieckiego, aż się przyzwyczajają, aż w duszy zapanauje obcy pacierz.

Jedna z matek skarży się:

— Przychodzi do domu z ochronki i już ino rządzi po niemiecku i śpiewa po niemiecku. Nieraz kija złapię, nic nie pomoże. Ono zaraz w płacz: „Czego mnie bijecie, kiedy tak mi łatwiej rządzić“. To dziecko już jest innego ducha.

W innej miejscowości dziadek mówi:

— Serce mi się kraje z boleści, jak widzę, co się dzieje. Nauczylem wnuka

„Ojeze nasz“, a on rano i wieczór: „Vater unser“. Co zrobić? Rządę do niego po polsku, a ono mi odpowiada po niemiecku. Umiera mi wnuczek, a ja nie nie mogę poradzić. I na tom się tyle napracowałem, na tom się poniewierałem po rowach, żytach w powstaniu, na tom rzezy dostałem. Ino mnie jedno cieszy, mam syna po stronie polskiej. W niedzielę przychodzi z wnuczkami.

Dalej autor wspomina o szkołach mniejszościowych, podkreślając ich niski poziom:

Przytem ta szkoła nie daje żadnych praw, z jej świadectwem uczeń nie zostanie przyjęty nawet na naukę rzemiosła.

— Nie mam sumienia posyłać dziecka na taką poniewierkę! — wyznaje ktoś otwarcie.

Jeden z ojców mówi mi:

— Nasze dzieci są jak trędowate. Raz przyszła ze szkoły córa moja i mówi:

— Tato czego my są Polakami? — Kiedyś to usłyszałem, to lzy mi się cisły do oczu i jakby kto mi serce przebódl. Mnie tych dzieci żal, bo to męczennice.

Z drugiej strony ten sam ojciec z dumą rzekł, że te dzieci odczuły swoją odrębność i wszystkie zrosły się i dzisiaj tworzą zwarty oddział, biorący żywy udział w każdym obchodzie, w każdym poczynaniu polskim. Kiedy wejdziemy do szkoły niemieckiej, to się przekonamy, że uczniami są dzieci polskie, którym nie wolno w czasie godzin i w czasie pauzy jednego słowa przemówić — to się przekonamy, że

tutaj się nic nie zmieniło.

Ta szkoła odgrodziła się czterema ścianami od wszystkich porozumień i pędzi odrębne życie. Jak dawniej tak i dzisiaj nauczyciel przy nauce historii i geografii wydobywa same plamy o narodzie naszym i z zapalem głosi, że Polska to kraj niechlujstwa, niesprawiedliwości, nędzy i zbrodni.

Na ścianie nadal wiszą te same obrazy, te same tablice, wśród których trzy zajmują naczelne miejsce i są podstawą w urabianiu dusz. Jedna przedstawia państwo niemieckie z oderwanymi częściami Śląska, Pomorza, te granice jakby buchały krwią. „To wiecznie otwarta rana Niemiec“. Nauczyciel nadal objaśnia „blutende Grenze“ i nadal wskazuje na wschodniego sąsiada, który „zabrał czysto niemieckie ziemie“. Obok wisi tablica, mająca dać obraz tego, jak państwo niemieckie jest skrzywdzone, ile musi płacić odszkodowań wojennych, jak Niemcy są bezbronni, bo tylko rzadko widać na olbrzymich terenach żołnierza, a na obszarach Polski i Francji tysiące samolotów, czołgów, mrowisko wojska. Te tablice mają przypomnieć 1918 rok; w każdej chwili przemijającej przez ośm lat mają wyrabiać ducha wojskowego, gromadzić paliwo w sercach i rozpalać myśl odwetu, aby naprawić wyrządzoną krzywdę: „Unsere geraubten Gebiete“.

**Każdy z uczniów musi należeć do Hitlerjugend,**

każdy ma mundurek i bagnecik z wrytym napisem: „Blut und Ehre“ (Krew i cześć). Kiedy ten dzieciak ma na sobie ów mundurek, obowiązuje go postanowienie, że nie wolno inaczej mu mówić, tylko po niemiecku. A zwyczajnie nosi go cały dzień.

**O oto obraz ćwiczeń Hitlerjugend.**

Oddział rozsypuje się po miedzach, oziminach, gdzie jeszcze widać resztki wieńca z dnia zadusznego, rzuconego na samotnej mogile, na której leży płyta: „Tu spoczywa żołnierz Nieznany, który dał życie za swój Śląsk“; oddział zwiera się z powrotem, zamiera w bezruchu na rozkaz wydany mocnym, stanowczym głosem przez małoletniego dowódcę, też uczniaka, który robi wrażenie oficera, wychowanego w rygorach twardej, pruskiej szkoły. Co tu za posłuszeństwo, co za karność i dyscyplina iście wojskowa! Nastąpiło przemówienie, jakby manifest, czy apel na sposób żołnierski i znów marsz.

Szeregi za szeregami, jakby części żelaznej maszyny, mocnymi krokami idące w ich tajemniczą przyszłość.

Spoglądam w ich niebieskie oczy, na drobne twarze i poznaję: To synowie chłopów piastowskich, dziedzice tej ziemi, w której obronie padł może stryj, może wuj, a może ojciec... Polskie serca tłuką się pod żółtymi mundurkami, usta polskie śpiewają pieśni dyszące nienawiścią.

Tak, te dziecięce oddziały, wracając z ćwiczeń sobotnich, maszerują obok własnych domów, gdzie panuje zwyczaj polski, obok świetlic, gdzie rozbrzmiewa polska mowa, gdzie praca polska budzi dusze i rozognia je uczuciem miłości — i te oddziały w trzasku butów bijących o kamienie, pełną uniesienia piersią dzisiaj śpiewają brutalnie, twardo: „Siegreich werden wir Polen schlagen“. Te Pawelczyki, Scholtysyky, Schoppy, Schefftziki, Schwente, Czieszowitze, Schombiedscy...

Gdy takie dziecko opuszcza szkołę, umie po polsku tylko wtedy, jeżeli rodzice w domu o to dbają i do tego całą siłą przymuszają.

„Drang nach Osten“. Dawniej czyniono to krwią i żelazem. Dzisiaj katechizmem i elementarzem. A która broń jest bardziej skuteczniejsza, bardziej zagładę niosąca — na to pytanie dają odpowiedź ostatnie lata, przypuszczające atak z kościoła i ze szkoły.

„DZIEJE DETRONIZACJI KRÓLOWEJ KORONY POLSKIEJ NA KRÓLOWĄ KORONY PRUSKIEJ“.

W Kurjerze Porannym pisze M. J. Wielopolska:

W sylwestrowym „Dniu pomorskim“, pojawił się artykuł p. Tadeusza Pietrykowskiego, omawiający pewną publikację, bę-

dącą w jego posiadaniu. Jest to katechizm katolicki, wydany, jak brzmi karta tytułowa, w Kwidzynie 1758 r., zaciekawiający polskiego czytelnika wszelkich wyznań tem, iż w znanej t. zw. Litanji loretańskiej, którą podaje, jest nieznaczna, a wysoce charakterystyczna zmiana tekstu. Mianowicie w końcowej ewokacji, zamiast patryjotyczno - nabożnego wersetu: „Królowo Korony Polskiej, módl się za nami!...” jest werset: „Królowo Korony Pruskiej”.

„Imprimatur” biskupi nosi datę: 8 Mensis Martii Annol Dni 1758, a więc datę, kiedy Warmja należała jeszcze do Polski. Tymczasem firma wydawnicza brzmi na tytułowej karcie: „drukowane w Kwidzynie w Królewsko - Zachodnio Pruskiej drukarni nadwornej”, co w połączeniu z tym monarchicznym dodatkiem o Królowej Korony Pruskiej, wyraźnie świadczy, iż publikacja ujrzała światło dzienne po rozbiorach Polski i po... staniu jej korony.

Co, jak pisze p. Pietrykowski, „wywołać musi tem większą wesołość, skoro się zważy, że Fryderyk II, który był ateuszem i cynikiem, nie dopuściłby do współudziału w swych rządach Matki Boskiej”.

W każdym razie bardzo znamieną jest ta łatwość przesaltowywania tytułatury niebieskiej w modlitewnikach katolickich, — może tu szukać należy powodów, dzięki którym plebiscyt w katolickiej Warmji wypadł dla nas po Wielkiej Wojnie, tak niefortunnie...

Jak widzimy Prusy obecne nie zmieniły w niczem od czasów Fryderyka Wielkiego swych metod w walce z Polskością.

Ale obecnie możemy im się przeciwstawić.

„DOLE I NIEDOLE BARAKOWCÓW”

W reportażu „Dole i niedole barakowców” pani M. Ciechanowiecka porusza na łamach A.B.C. z dnia 5 stycznia, bardzo aktualną i palącą sprawę: mianowicie stanu zdrowotnego wśród biedoty w barakach na Annopolu.

Na ementarnym piachu Annopola (ojcowie miasta twierdzą, że właśnie na tym piachu pobudowano osiedle, bo to zdrowiej), na łysych wydmach wśród drewnianych trumien, w których mieszkają ludzie, czają się złośliwe zmyry — anemja, gruźlica, krzywica. Naprzód zjawia się ta pierwsza i wszelkie siły człowiekowi odbiera, czyni go bezwolnym narzędziem, w szponach innej zmyry — suchot.

Dalej opowiada autorka o niedoli dzieci, których młode organizmy tak łatwo przecież dają się pokonać mikrobom.

Spotykam 6-letnią dziewczynkę, która prowadzi za rączkę maleństwo o obrzękniętej, czerwonej buzi. Straszliwy kaszel wstrząsa drobnym ciałkiem, z rozchyłonych ust cieknie ślina.

— Zatrzymaj się na chwilę, dziecko się dusi. To pewnie koklusz.

— A tak — powiada mała — koklusz. Ja miałam najprzód, potem wszystkich zaraziłam — dodaje z chępliwym wyrazem twarzy — nawet najmniejszy braciszek też już kaszle.

Miła, delikatna blondynka, przedwcześnie postarzała, wychodzi z domu, wita radośnie towarzyszącą mi p. Janczarównę.

— Wczoraj moją Jankę zabrali do szpitala. Szkarlatyna. A Helka została. Będzie na obserwacji, bo tyż ma gorączkę. Jak upiór czerwona.

— Pani się nie boi zarazić.

— O! mnie kabalarka mówiła, że mam takie ciało, którego się nie chwyta żadna zaraza...

A oto jak się przedstawia sprawa dotychczas bezpłatnego rozdawnictwa węgla i kartofli.

— Do tej pory — powiada jedna z kobiet — dostawało się zupełne za 5 groszy — czasami węgiel i kartofle. Teraz będziemy musieli odróbkę za to robić. Przy kopaniu wałów pracować. Rozmaicie.

— To chyba lepiej niż jałmużnę dostawać?

— Może i lepiej — przecie każdego z nas chętnie do roboty pójdzie. Ale nas tu już tak wymęczyły choroby i głód, że jeden z drugim wloką się jak te muchy w miodzie. Nijakiej siły w rękach nima. Mój na ten przykład od tygodnia leży. Gorączka od niego bije, jak z pieca. Od rzezy gada. Pewnie zapaliły mu się płuca. Jakże mu ta do roboty iść. Niesposób. Chleba sama go na barana zaniosę. A dziecnek nie zostawie. Ośmioro drobiazgu mam. Dostę z tem kramu. Dwoje ma koklusz. Najmłodsze tyż kaszle. A w izbie ziąb jak cholera.

— To jakże będzie z tym węglem?

— Ano bez odróbki tera nie dadzą. Dopiero jak przedstawię świadectwo, że odrobiono robotę. A jak nie to znowu trzeba nogi wydeptać, żeby objaśnić, że mój chory, że pracować niema siły, że ja tyż mam z wilgoci nogi jak banie. Człowiek się nalaży jak głupi, a tu przez ten czas mój zdąży umrzeć, a woda w garnkach pozamarza.

SPRAWA POMARAŃCZOWA.

Do bardzo niedawna jeszcze dla szerszych mas naszej publiczności pomarańcze i mandarynki były jakimś przysmakiem, dostępnym jedynie dla garstki możnych tego świata.

Oto co pisze Wiktor Łabuński na łamach I. K. C. z dnia 11 b. m. o niedzielnym ewenemencie jakim jest, jeżeli nie w naszym życiu, to w naszym jadłospisie zmniejszenie cła na pomarańcze i owoce południowe.

Niedawno stało się u nas coś, w znaczeniu swem przewyższające zniesienie prohibicji w Ameryce, afe stało się wstydliwie, pocichu, bez większego rozgłosu, bez

artykułów wstępnych, bez wielkich tytułów na pierwszej stronie gazety. Mówię mianowicie o zmniejszeniu od dnia 28-go grudnia ubiegłego roku cła na pomarańcze i owoce południowe. Ewenement w naszym życiu narodowym, któryby zasługiwał na pochody, iluminacje, karnawał uliczny, radość powszechną.

Dodanie zdrowia całej ludności Polski (bo niewątpliwie to już nastąpiło częściowo; jeszcze niższe ceny na pomarańcze powinny zrobić resztę) przeszło cicho. Tylko radość w domach, gdzie są dzieci, jest wyrazem zmiany. Za ten krok zdecydowany należy się podziękowanie tym, którzy tę rzecz do skutku doprowadzili.

I — jeszcze jedna prośba do tych, od kogo to zależy: by przypilnowano i skontrolowano, aby „reforma pomarańczowa” nie utknęła w pół drogi. By pomarańcze istotnie doszły do ceny 10 — 15 groszy za sztukę i by na tym poziomie pozostały!

KĄCIK HUMORU.

W *Expresie Porannym* w dziale zatytułowanym „Co w trawie piszczy” czytamy następujące anegdoty:

WÓJT.

W pewnej wsi w Meklenburgu odkryto przed kilku dniami fałszywą monetę. Zamiesiono ją do wójta, który sporządził protokół i odesłał go do prokuratora w najbliższym mieście.

W kilka dni potem prokurator wezwał wójta do przedłożenia fałszywej monety.

Wójt odpisał: „Przecież nie mogę jej już mieć. Zaniosłem ją na pocztę i napisawszy przekaz wręczyłem pocztmistrzowi”.

EGIPT.

Młody urzędnik jednego z ministerstw, radca P. mówi — od czasu do czasu — doskonałe dowcipy.

Zdarzyło mu się kiedyś być na jakimś fajfie, na którym bardzo nudna pani domu zanudzała wszystkich wykładami o Egipcie, mumjach, hieroglifach i piramidach.

— Jednego tylko nie mogę zrozumieć — mówiła — dlaczego ci egipcjacy faraonowie byli tacy zdenerwowani?

— No, przyzna pani — wtrącił radca — że chodzić całe życie profilem, to nie jest bardzo zdrowe!

NIESZCZĘŚCIE.

Malarz Witkowski wracał raz nad ranem w towarzystwie Jaracza, ujrzał na chodniku jakąś czerwoną strugę.

— Co to jest? — spytał towarzysza. — Krew czy wino?

— Wino — odparł ze znanstwem świetny aktor.

— Mój Boże — westchnął z politowaniem Witkowski — a to się przydarzyło komuś nieszczęście!

# Świat kobiecy w ilustracji



## WYDALENIE NIEMIECKIEJ ARTYSTKI Z U. S. A.

Na zdjęciu widzimy artystkę niemiecką Verę Engelę, od której, jak donoszą pisma amerykańskie, władze zażądały opuszczenia terytorjum U. S. A. przed dniem 21 lutego r. b. Przyczyny tego zarządzenia są narazie trzymane w tajemnicy.



## MIĘDZYNARODOWE WYŚCIGI SAMOCHODOWE. W MONTE CARLO.

Na zdjęciu widzimy grupę angielskich zawodniczek międzynarodowego raidu automobilowego w chwili, gdy po przybyciu do R. A. C. klubu odczytują zawiadomienia o nadechodzącej korespondencji.

## WYSTAWA KOBIECA W BERLINIE.

Zdjęcie nasze przedstawia jeden z fragmentów wystawy, nazwanej „W świetle mojej lampy”. Wystawa ta została urządzona przez niemieckie Panie ze świata artystycznego i towarzyskiego. Dochód z niej przeznaczony jest na niemiecki Czerwony Krzyż.



**KSIEŻNA KENTU WPROWADZA MODĘ NOWEGO UCZESANIA?**

Damy z angielskiego towarzystwa naśladowują fryzurę ks. Kentu. Ks. Marinę uczesaną w całkowicie nowy sposób widziano ostatnio na jednym z przyjęć londyńskich.

**SPORTY W AMERYCE POŁUDNIOWEJ.**

Na zdjęciu widzimy start do wyścigów z riksami, które są w programie zawodów sportowych w Palon Spring (Kalifornia). Młodzi Amerykanie uprawiają ten nieznaną u nas sport tem chętniej, gdy w riksach znajduje się ładne pasażerki.



**ZWYCIĘSTWO FEMINIZMU.**

Fotografia przedstawia p. Oliwier, właścicielkę składu węgla w Nicei, która została mianowana sędzią trybunału handlowego. Jest to pierwsza kobieta we Francji, która zajmuje tego rodzaju stanowisko.



## Szukamy czterechsettyśiącznego radjostuchacza

### NAGRODY I NIESPODZIANKI CZEKAJĄ

Skromne liczby, w jakich zamykała się liczba polskich abonentów, które podczas największego wzrostu w ubiegłych latach przekroczyły 3256.000, sprawiły, że Polskie Radjo raz tylko obchodziło uroczystość uczczenia czterechsettyśiącznego abonenta radjowego. Żywiolowy wprost pęd do radja, jaki dał się zauważyć z końcem roku 1954 i początkiem 1955 rokuje jak-najlepsze nadzieje na osiągnięcie już w najbliższym czasie tak upragnionej przez wszystkich, którym rozwój radja jest bliski, cyfry 400.000 abonentów. Cyfra ta, jak wykazywała praktyka radjofonij zagranicznych, była do pewnego czasu dość trudna do osiągnięcia i stanowiła pewnego rodzaju rubikon, po przekroczeniu którego liczba abonentów wzrastała w szybkim tempie. Wyrazić należy nadzieję, iż horoskop ten sprawdzi się również i w stosunku do radjofonji polskiej, tembardziej, że dane cyfrowe przyrostu abonentów wyraźnie na to wskazują.

Dyrekcja Polskiego Radja postanowiła godnie uczcić tego abonenta radjowego, którego statystyka agencji radjofonicznej, cokolwiek płyną zgłoszenia abonentów z całego kraju, oznaczy imponującą już cyfrą 400.000. Abonent ten, jako dar pamiątkowy, otrzyma wspaniałą superheterodynę

„Olimpic“ wartości 700 zł. Aparat ten wręczony mu zostanie w Warszawie, do-każ, jeżeli oczywiście zechce, przyjedzie na koszt Polskiego Radja otrzymując również bezpłatny bilet powrotny do domu. Pozatem 400-tysięczny abonent będzie miał możność wygłoszenia paru słów przez mikrofon. Aby jednak osłodzić zawód tym, którzy zarejestrowali się w tym samym czasie i tylko przez traf losu ominęła ich nagroda, Dyrekcja Polskiego Radja przeznaczyła również nagrody dla abonentów Nr. 399.999 i 400.001. Pierwszy z nich otrzyma nagrodę w formie zwolnienia z abonamentu radjowego na przeciąg roku, drugi zaś również w przeciągu roku otrzymywać będzie bezpłatnie tygodnik „Antena“.

Zrozumienie dla radja, jakie zwłaszcza ostatnio zaczęło się przejawiać w społeczeństwie, większa ruchliwość przemysłu radjotechnicznego, realizowanie hasła „radjo na wieś“ — wszystko to powinno sprawić, że moment osiągnięcia przez radjofonję polską okrągłej półmilionowej cyfry abonentów jest już niedaleki. Moment ten powinien nastąpić z początkiem tegorocznego jesiennego sezonu radjowego. Hasłem, do którego realizacji winno dążyć Polskie Radjo, przemysł radjotechniczny i społeczeństwo, jest: „Milion słu-

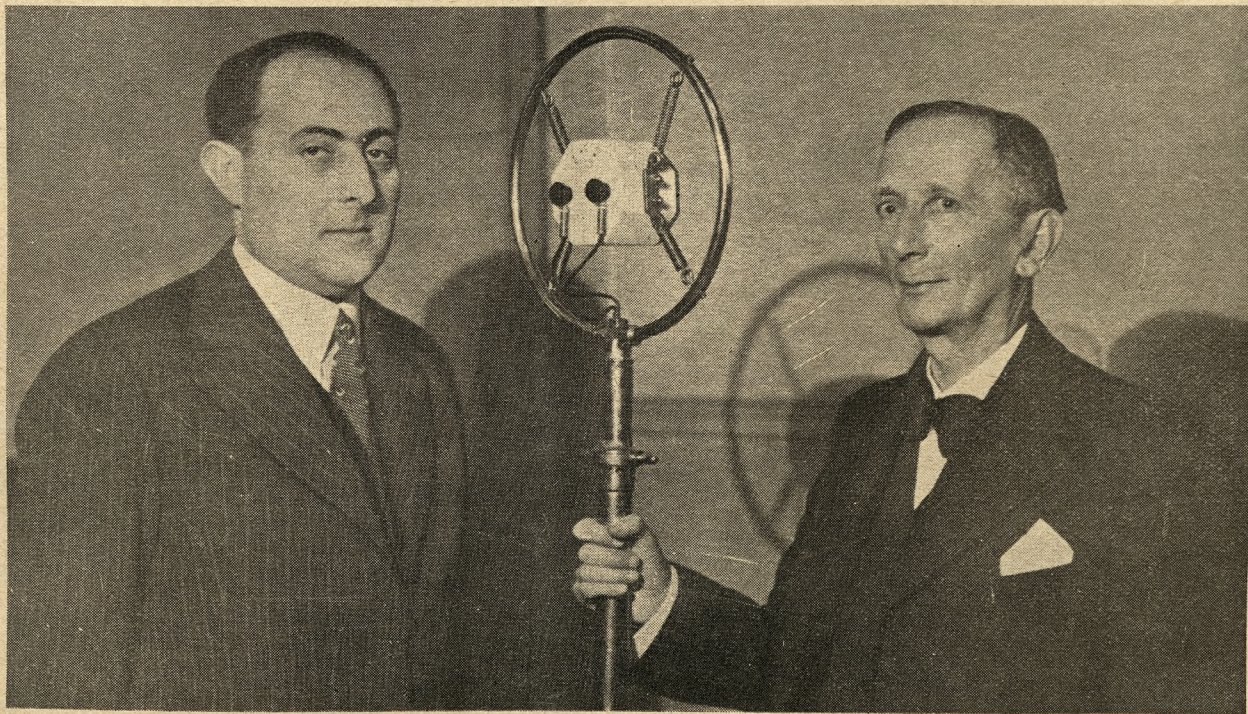
chaczy w Polsce!“ Nie będzie to zbyt dużo, bo zaledwie niecałe 10% ogółu ludności. A cyfrę tę osiągnąć można.

Konkurs rozstrzygnięty zostanie około 15 lutego r. b., każdy więc, kto się obecnie zarejestruje, ma szansę zdobycia cennej nagrody.

### GOSPODARSTWO DOMOWE W NOWOCZESNEM UJĘCIU.

O tem, że prawidłowa organizacja gospodarstwa domowego, to czynnik państwowo-twórczy, wiedzieli już nasi ojcowie, gdy oddali rządy nad państwem Piastowi, dlatego, bo wraz z żoną umiał ugościć wielkie rzesze ludu, przybyłego na wiec wyborczy. Tak przynajmniej mówi legenda, a my musimy przyznać, że jej treść odpowiada istocie rzeczy, bo nie ulega wątpliwości, że naród mający silne, dobrze zorganizowane i umiejętnie zarządzane domy rodzinne ma większe szanse rozwoju i potęgi niż ten, w którym one przedstawiają obraz chaosu i nieładu. Nawiązując do tego założenia, znana prelegentka p. Marja Karczewska, wygłosi przed mikrofonem warszawskim odczyt o godz. 17.25 uzasadniając konieczności ujęcia w prawidłowe formy organizacji gospodarstwa domowego.

## „Miljonerzy“ przed mikrofonem



*Liczni abonenci radja mieli możność wysłuchania w dniu 30 b. m. wywiadu, którego udzielili przedstawicielom rozgłośni warszawskiej pp. Urbach i Promalski, właściciele dwóch ćwiartek n-ru 72.450, obdarzonego przez Fortunę milionem złotych. Rycina nasza uwieczniła chwilę, w której p. p. U. i P. przemawiają do mikrofonu.*

# Ogrodnictwo i hodowla

## ROŚLINY W INSPEKCIE

Inspekt jest rzeczą sztuczną, to też rośliny w nim hodowane muszą być pod stałą opieką i obserwacją, aby nie wdały się różne choroby i pasożyty, któreby łatwo mogły cały nasz trud zniszczyć.

Najczęściej spotykanymi przypadkami są następujące:

1) obniżenie się temperatury.

Przy długotrwałych bardzo silnych mrozach i niedostatecznych obkładach zdarza się niekiedy obniżenie temperatury do tego stopnia, że na listkach roślin pojawia się szron, a nawet i ziemia nieraz marznie; w języku ogrodniczym nazywa się to, że „inspekt staje”.

Rośliny delikatniejsze, jak melony, ogórki, fasole itp. giną od tego bezpowrotnie. A takie jak kapusty, rzodkiewki, korzeniowe opóźniają się we wzroście.

Gdy się zdarzy takie obniżenie się temperatury, trzeba natychmiast roślinki skropić zimną wodą, przykryć oknami i matami, kładąc je podwójnie i odkryć je dopiero po upływie 24 godzin pod wieczór.

Obkłady należy w tej chwili pogrubić, dając grubą warstwę gorącego nawozu stajennego.

2) Spalenizna.

Spalenizna w inspekcji polega na tym, że nawóz w pewnych miejscach zbyt gwałtownie się zagrzewa, następnie wysycha i staje się popielatym. Barwa ta pochodzi od grzybni pleśniowej, która następnie rozprzestrzenia się i przenika do ziemi, powodując obumieranie roślin. Objawem tego jest gwałtowne żółknięcie młodych roślinek.

Spalenizna pojawia się wtedy, gdy się używa do zakładania inspektu nawozu zupełnie świeżego, nie pomieszanego należycie. Dla przypalonych roślinek ratunku niema, są stracone bezpowrotnie.

Spaleniznę zaś usuwamy w ten sposób, że trzeba odgarnąć ziemię, a miejsce przypalone zalać wodą do nasycenia, nasypać ziemi i obsiać lub obsadzić na nowo.

3) Wybieganie.

Wybieganie roślin w inspekcji spotyka się bardzo często. Objawia się ono tym, że lodyżki nadmiernie się wykluwają, roślinki stają się blade, cienkie i liśćmi wysoko się wynoszą ponad powierzchnię ziemi.

Najbardziej właśnie zgubnym jest wybieganie roślinek przed ukazaniem się liści właściwych.

Środkami zapobiegawczymi przeciw tej chorobie są: siew nie za gęsty, codzienne przewietrzanie,

utrzymywanie w inspekcji właściwej, nie za gorącej temperatury, dopilnowanie wschodów i nie pozwalanie im na wydłużanie się w ciemności. Gdy stwierdzimy, że siewki zbyt wybiegają, to należy je przerzedzić, o ile są zasiane zbyt gęsto, a gdy siew jest normalny, to należy palcem powpychać roślinki do ziemi, tak aby się w ziemi znalazły po same liście. Zwiększyć wietrzenie i starać się o jaknajwiększy dostęp światła.

4) Czarna nóżka.

Jest to choroba, polegająca na psuciu się korzonków tuż przy szyjce korzeniowej. Na chorych roślinach osiedla się grzybek pasożytniczy. Przyczynami tej choroby t. j. podłożem, na którym się ten zarazek najlepiej rozwija, jest: ziemia niedostatecznie przegniła, za gęsty siew, wilgoć, nadmierne ciepło oraz brak światła.

Czarnej nóżce podlegają przede wszystkim rośliny krzyżowe np. kapustne, lewkonje itd. i to w chwili gdy zaczynają się tworzyć pierwsze listki.

Ratując chorą rozsadę, rozsadzić ją trzeba do innej skrzyni, w nową ziemię, doskonale rozłożoną i pozbawioną części gnijących i następnie doskonale przewietrzyć.

U roślin dyniowatych trafia się gnienie lodyżek ponad szyjką korzeniową, chorobę tę powoduje nadmiar wilgoci.

Jeśli zgnilizna nie objęła jeszcze całej lodyżki naokoło, to zwalczać tę chorobę można przez wycięcie nożykiem części zgniłych i osypanie ran proszkiem z węgla drzewnego.

5) Pleśń.

Pleśń pojawia się wskutek niedostatecznego przewietrzania, zbyt dużej wilgoci i przy jednocześnie gęstych wschodach. Pleśń zwykle pojawia się na powierzchni ziemi, zwłaszcza na resztkach materji nieprzgnilej, a następnie przechodzi na rośliny i powoduje ich gnienie. Znajdąc przyczynę, łatwo zapobiec jej powstawaniu.

6) Chwasty.

Chwasty w inspekcji mnożą się i rosną niestęchanie szybko. Duszą hodowane rośliny, zabierając im światło, słońce, wilgoć i powietrze. Powodują wiatlenie, wybieganie i gnienie roślinek nimi opanowanych. Dlatego też nie należy zaniedbywać pielien i niszczyć chwasty, gdy tylko się pojawiają.

7) Mszyce.

Ze szkodników zwierzęcych największe szkody w inspektach wyrządzają mszyce. Najwięcej przenosi się ich ze szklarni lub z miesz-

kania wraz z rozsadą; niekiedy bowiem dla oszczędności i dla ułatwienia sobie pracy czyni się pewne zasiewy wcześniej w skrzyneczkach lub doniczkach i trzyma się w szklarni lub w mieszkaniu na słonecznym oknie, — dopiero, gdy dobrze powschodzą, przenosi się je do inspektu.

Pamiętać należy, że mszyce mnożą się zastrasząco szybko i że mają doskonałe podłoże do rozwoju wszędzie tam, gdzie powietrze jest suche i za mało odświeżane.

Dopóki mszyce nie objęły całkowicie roślin t. j. w samym początku, można je bez wielkiej trudności wyniszczyć zapomocą okadzenia tytoniem najgorszego gatunku t. j. machorką.

W tym celu pod okna inspektowe ustawia się miseczki płaskie z rozżarzonymi węglami, na które sypie się po garści tytoniu. Czynić to należy wieczorem, a potem zamknąć okna szczelnie — nazajutrz mszyce powinny być nieżywe. Okadzenie to powtórzyć 3 razy w odstępach 5 dniowych.

Oprócz okadzenia przeciw mszycom w inspekcji należy stosować jeszcze:

a) emulsję mydlaną, t. j. ½ kg. szarego mydła rozproszanego litrem wody,

b) odwar z tytoniu,

c) emulsję naftową z mydłem.

Wyżej wymienione płyny rozpyla się na roślinach w inspekcji przy pomocy rozpylaczy.

Ze szkodników zwierzęcych myszy i krety wyrządzają w inspektach duże szkody. Krety rujnują ziemię. Myszy podbierają nasionka i podgryzają młode roślinki. Przeciw myszom stosujemy pułapki i zatrute ziarno. Kretów zaś nie należy zabijać, bo są to stworzenia bardzo pożyteczne. Stosujemy tedy wypędzanie przez wrzucanie do nor krecich przedmiotów silnie cuchnących np. szmaty zmoczone w nafcie, kawałki śledzia itp. Można kretów wcale nie dopuścić do inspektów, kładąc pod podkład nawozowy warstwę gałęzi, przez któreby się kret przedrzeć nie mógł.

Duże szkody wyrządzają ślimaki i stonogi, należy je łowić na przynęty. Ślimaki na zerowisko wychodzą w nocy, a w dzień się ukrywają. Łowi się je porozrzucane tu i owdzie, koło brzegów skrzyni rozciętymi kawałkami ziemniaków, marchwi, rzepy i t. p. W rozciętych połówkach robimy zagłębienia.

Do tych przynęt ślimaki i stonogi się chronią. Na dzień przynęty zbieramy i niszczymy.

## KURY ZIMĄ POTRZEBUJĄ RUCHU

Podczas zimy kury potrzebują możliwie dużo ruchu, który im do zdrowia jest nieodzownie potrzebny. Niestety, hodowcy tego zagadnienia nie doceniają. Bardzo często się zdarza, że zimą kury stoją smutne, bez ruchu. Stan ten powoduje nie tylko małą nieśność, ale wielką skłonność do chorób. Rzeczą hodowcy jest zrobić wszystko, aby kury możliwie do ruchu pobudzić.

Trzeba zawczasu o tem pomyśleć, aby kurom urządzić grzebalisko. Gdy kurom brak tego urządzenia, nie mają ochoty do ruchu. Jeszcze gdy jest mróz, to pół biedy, ale gorzej jest podczas deszczów lub śniegu. Na grzebalisko najlepiej wybrać miejsce, przylegające do kurnika i możliwie obszerne. Budujemy je w formie szopy, mającej jedną ścianę otwartą. Grzebalisko winno być suche, pozbawione przeciągów i możliwie otwarte na stronę południową, aby słońce miało tam jak najłatwiejszy dostęp. Dach można zrobić kryty papą, lub poprostu słomą — idzie tu bowiem tylko o to, aby był tak szczelny, by nie przepuszczał śniegu i deszczu. Aby kury podściółki nie rozgrzebywały, trzeba od otwartej strony zastawić grzebalisko deską przynajmniej na 25 cm. wysoką. Jako podściółki można używać grubo rąbaną słomę, sieczki, torfu, igliwia i t. p. Piasku do tego celu nigdy używać nie należy, bo piasek jest zimny i gdy kury w nim grzebią w czasie dużych mrozów łatwo sobie nogi odmrażają.

Całodzienna dawka ziarna nie powinna przekraczać pół kilograma na każde 10 kur ras lekkich, jak zielononóżki lub leghormy, a 600 gr. dla cięższych, jak karmazyny czy wajendotki. Dawkę ziarna dzielimy na dwie porcje. Jedną rano wyspaną w podściół grzebaliska, a drugą damy wieczorem. Zachęci je to do grzebania i spowoduje, że kury w ciągu całego dnia będą w ruchu, nie będą tak marznąć, dzięki temu nieśność będzie większą. Lekceważyć tego nie można, bo praca ta je rozgrzeje, rozrusza, pobudzi krążenie krwi i wogóle skłonność do wytworzenia jaj.

Aby zachęcić kury do ruchu i dać im pożyteczną surowiznę, wieszamy na sznurku burak napół rozcięty albo pół główki kapusty. Wieszając trzeba na takiej wysokości, aby kura, chcąc się do niej dostać, musiała podskoczyć.

## JAK SIĘ OBCHODZIĆ ZE ZDJĘTĄ SKÓRKĄ KRÓLICZA

Aby mieć pożytek ze skórki króliczej, należy ją przedewszystkiem zdjąć starannie, bacząc, aby nigdzie nie skaleczyć. Następnie trzeba zdjąć również ostrożnie wszelkie kawaleczki mięsa i tłuszczu. Po tym zabiegu trzeba ją natychmiast wyciągnąć, wogóle nie pozwalając jej się pomarszczyć przy wysychaniu.

Pamiętać należy, iż to, co niestety stosuje się najczęściej, t. j. wypychanie skórki sianem i suszenie jej szybko w ciepłym miejscu, jest w znacznej mierze marnowaniem tej skóry i intensywną hodowlą mol. Dlatego też sposób ten powinien być raz na zawsze poniekany.

Aby zapobiec kurczeniu się i gniciu skórki, naciąga się ją na specjalną deszczulkę w formie klina włosem do wewnątrz. Drugim sposobem, równie dobrym, jest rozpięcie mocno naciągniętej skórki na deseczce odpowiedniej wielkości. W tym wypadku skórki przybijamy cienkimi t. zw. tapicerskimi gwoździkami. Skórka rozpięta na desce musi być rozcięta. Cięcie przeprowadzamy bardzo ostrym nożem, tnąc podbrzusze. Starać się cięcie zrobić możliwie proste i idące możliwie środkiem brzucha — gdyż wtedy skórka ma ładną formę i można z niej coś łatwo wykroić.

Deskę lub klin z naciągniętą skórką stawiamy w miejscu przewiewnym, suchym, aby myszy ani szczury nie miały do niej dostępu. Zupełnie suche skórki zdejmujemy z deski lub klinu i przesypane jakimś preparatem przeciw molom trzymamy do czasu ucięcia skórek do garbowania.

Skóry starych samców można wyprawiać na rodzaj irchy — nadają się one wtedy na podszewki do bucików, na ścierki i t. p.

## CIĘCIE KRZEWÓW

W końcu zimy należy również podcinać agresty, porzeczki i maliny. Jest to czynność bardzo ważna, bo od tego czy cięcie jest przeprowadzone racjonalnie, zależy w znacznej mierze przyszły plon. Przez odpowiednie cięcie ponadto odmładzamy każdorazowo krzaki, przez co przedłużamy znacznie ich życie. Cięcie uskuteczniamy nożycami ogrodniczymi t. zw. sekatorami.

Na obciętych gałązkach często się mieszczą różne pasożyty, w razie zauważenia ich obecności, należy gałązki natychmiast spalić, a popiół rozrzucić, gdyż jest on bogaty w składniki potasowe.

Przystępując do cięcia należy przedewszystkiem dobrze krzak obejrzyć, aby się zorjentować, które gałązki należy dla nadania krzakowi porządnego wyglądu usunąć, które są suche, które zagęszczają koronę i t. p.

Najwcześniej przycinamy agrest, bo krzak ten pierwszy na wiosnę się rozwija. Na zagęszczenie korony jest on jeszcze bardziej wrażliwy niż porzeczki. Należy tedy usunąć wszelkie ocieniające się i krzyżujące gałązki. Przy robocie tej należy baczyć, aby nie obciąć zbyt wiele gałązek, na których są osadzone oczka kwiatowe.

Zarówno u agrestów jak i u porzeczki pączki kwiatowe osadzają się przeważnie na koronach gałązek. Tak więc, o ile pęd jest krótki lub bardzo cienki i zwisa ku dołowi, to go nie przycinamy, w przeciwnym razie, o ile pęd jest gruby, sztywny, prostorosnący i długi, t. zn. sięga więcej niż 8 — 10 cm. licząc od pączków owocowych do końca pędu, to można go o 1/3 długości skrócić.

Przycięcie to wywoła przyrost, a tym samym częściowe zwolnienie obiegu soków, a zatem zwiększenie ilości pączków owocowych.

Malinom należy wyłamać wszystkie susz (pęd maliny w pierwszym roku wyrasta, w drugim owocuje i obumiera). Następnie wycinamy zbędne pędy pozostawiając na każdym 4 — 6 gałązek, które skracamy o 1/3. Tak cięte krzewy trwają długo i owocują obficie.

## GAZ ŚWIETLNY A KWIATY

Mimo, iż wpływ gazu świetlnego bywa bardzo często mocno przesadzony, jednak nie można zaprzeczyć jego szkodliwego działania na rośliny pokojowe.

Zwłaszcza tam, gdzie gazu pali się dużo, gdzie jest kilka płomieni, a przedewszystkiem tam, gdzie są stare przewody, tam w wyborze roślin należy być bardzo ostrożnym, gdyż tylko minimalna ilość gatunków jest na to odporna. Z gazu wydziela się bowiem kwas pruski, który już w minimalnych ilościach działa szkodliwie na rośliny.

Tam, gdzie w mieszkaniu jest gaz, tam najczęściej bywa bardzo suche powietrze i ziemia łatwo się zakwasza.

Pozatem zatrutowane stale gazem roślinki dostają brzydkich plam i często zrzucają liście. Jako najodporniejsze pod tym względem rośliny doniczkowe wymienić należy: Azalje, Clivje, Yuki.

Marja Dąbrowa.



# Dom i gospodarstwo

## JARZYNY ZIMOWE

Nic nie działa tak podniecająco na apetyt, jak urozmaicenie jadłospisu. Wnoszą go przede wszystkim potrawy o cechach nowości, potrawy, które nie zadomowiły się jeszcze na naszych stołach, aż do znudzenia. Trochę to dziwnie wygląda w okresie propagowania kuchni dietetyczno-witaminowej, ale temi właśnie potrawami są przeważnie dania jarzynowe.

Jakoś się już tak utarło od lat, że zimę uważamy za „ubogą w jarzyny” obracamy się jedynie w ciasnym kręgu: marchewki, buraków, kapusty, i kartofli, rzadko kiedy dając ujście „jarzynowej fantazji”. A szkoda! W ciężkiej kuchni zimowej, każda lekka, pożywna i smaczna potrawa jest cenną pożywką dla organizmu.

Czy rzeczywiście gospodarstwa nasze są tak bardzo ubogie w surowiec jarzynowy, czy tylko brak nam przyzwyczajenia do wykorzystania tego co przynoszą rynki handlowe, do kombinowania nowych, ciekawych i smacznych dań na podstawie jarzyn zimowych? Myślę, że prędzej to drugie. Zresztą gra tutaj jeszcze rolę pewien lęk przed nowością. Chciałoby się ją nieraz wprowadzić do jadłospisu, ale kończy się zazwyczaj na przesądzeniu sprawy, na wmówieniu w siebie, że: „napewno domownicy zbytkotują naszą pomysłowość i tego dania jeść nie będą”.

Jest to znane nam kroczenie po udeptanych ścieżkach, toczenie się po linii najmniejszego oporu i wieczne wracanie do ciasnego kręgu dań, uświęconych odwiecznym zwyczajem, dań uwiecznionych w naszej pamięci od szeregu lat.

Tymczasem ryzyko próby nie jest tak groźne. Spróbujmy dać do mięsa oprócz kaszy, kluseczek, czy kartofli, wysmienitą salatkę z marchwi, z selerów, albo włoskiej kapusty z jabłkami. Nie gardźmy zimową rozszponką; nauczmy się odgoryczać cykorję; poznajmy wykwintny smak kardów; przywróćmy cześć zapoznanym bulwom; podnieśmy do godności potrawy kapustę włoską; kombinujmy doskonałe dania z brukselki, a napewno „odporni domownicy” nauczą się nie tylko jeść, ale i gustować w tych nowych i starych, ale pod nową postacią podawanych daniach.

Jarzyny powinny być traktowane dwojako: jako dodatek, lub garnitur podawany przy mięsie, i jako danie samoistne.

Pod tą drugą postacią będą cennym materiałem do wykorzystania przy budowaniu jadłospisów wieczornych. Ciężka kolacja jest wprost zabójczą dla zdrowia. To też uzbrojone w zasady racjonalnego odżywiania, staramy się dzisiaj podać ją w formie możliwie najpożywniejszej, a przytem lekkiej, smacznej i estetycznej.

Cóż może nam dać bogatszy i doskonalszy materiał, jak właśnie jarzyny. Niema ich wprawdzie tyle, co w sezonach: wiosennym, letnim i jesiennym, ale jest zawsze dosyć, aby naprzemian z daniami mącznymi i jajami, wykorzystać je jako podstawę zimowego jadłospisu „kolacyjnego”.

Spróbujmy dowieść tego przykładem, zestawiając jadłospis tygodniowy, z uwzględnieniem kolacji jarzynowych.

**Poniedziałek:** Cebula duszona w buljonie, kartofelki przysmażane.

**Wtorek:** Kapusta włoska zapiekana pod beszamelem.

**Środa:** Kardy na grzankach.

**Czwartek:** Groszek z marchewką, garnirowany kruchemi półksiężycami.

**Piątek:** Szpinak z jajami.

**Sobota:** Brukselka i bulwy osmażane w klarze.

**Niedziela:** Bukiet z jarzyn—sos mousseline.

Jeżeli każdą z tych kolacyj uzupełnimy pieczywem, masłem, serem śmietanowym, marmoladą, miodem (do wyboru) będzie nie tylko „zdrowa”, ale smaczna, atrakcyjna i całkowicie dla zaspokojenia głodu wystarczająca.

Ten próbny wzór nie wyczerpuje zresztą materiału. Pozostają jeszcze do dyspozycji: przeróżne budynie jarzynowe, zapiekanki, kotlety z jarzyn, kapusta faszerowana ryżem i grzybkami, omlety z jarzynami, potrawy z kartofli, sałatki, surówki i cały korowód dań, które podsunie nam, nastawiona na „temat jarzynowy” wyobraźnia.

Chodzi tylko o to, aby nie powtarzać się zbyt często, nie dawać samych jarzyn dzień po dniu, a przeplatać je daniami trochę solidniejszymi, jak potrawy mączne, dania z jaj, dania przyrządzane na podstawie sera i t. p.

Ważną rzeczą jest też umiejętność przyrządzania i podawania jarzyn.

Marchewka ze świeżym masłem deserowym to jarzyna wysmienita i wysoce wartościowa — wyduszona, „zaklepana” gęstym klajstrem z mąki, zatracca wiele ze swych odżywczych i smakowych właściwości.

Salsefja prawidłowo przyrządzona zasługuje całkowicie na miano „szparagów zimowych”; ugotowana nieumiejętnie i niedbale, szara i włóknista nie usprawiedliwia wogóle ukazania się na naszym stole jadalnym.

I tak jest ze wszystkimi jarzynami. To też trzeba się wczuć w ich indywidualne wymagania, umieć je podchwycić, utrwalić, a przytem wnieść w dziedzinę potraw z jarzyn trochę twórczej indywidualności, która ustrzeże nasze jadłospisy od szablonu.

I jeszcze jedno: jeżeli tylko dysponujemy odpowiednimi naczyniami, starajmy się gotować jarzyny na parze, oszczędzając w ten sposób ich wysokie wartości odżywcze i witaminowe. Gotując je zwyczajnie (w wodzie), pamiętajmy o tem, żeby nigdy nie moczyć oczyszczonych jarzyn godzinami, nie gotować ich w obfitej wodzie, a nade wszystko nie gotować dłużej, jak tego wymaga konieczność. Podawać natychmiast po ugotowaniu, nie przetrzymywać na ogniu, nie odgrzewać. Uzupełniać masłem surowym, garnirując niem jarzyny już na półmisku.

Wanda Dobrzańska.

## Przepisy kulinarne

### JARZYNY.

*Brukselka osmażana w klarze.* Dorodne główki brukselki oczyścić z wierzchu nadpsutych, nieświeżych listków. Wyplókać. Gotować na lekko osolonej i ocukrowanej wodzie nie dłużej jak 10 minut. Osączyć bardzo starannie.

Przygotować klar, maczać w nim główeczki brukselki, smażyć na rumiano na obfitym szmalcu. Osączyć na bibule, podawać natychmiast zρέcznie ułożone na okrągłym półmisku wyslanym serwetą.

*Salsefia z sosem holenderskim.* Zdrowe, grube korzonki salsefji oskrobać ostrym nożem, rzucać do zimnej wody zakwaszonej sokiem cytrynowym i lekko osolonej. Gotować z dodatkiem soli, cukru, odrobiny soku cytrynowego i niewielkiej ilości mąki pszennej (pół łyżki na litr wody), aby nie straciła koloru.

Ugotowaną podawać z masłem sklarowanym — oddzielnie sos holenderski.

*Sos holenderski.* Proporcja: 1 łyżka mąki pszennej kruleczki, 4 łyżki mleka, łyżka słodkiej śmietanki kremowej, 5 żółtka, 5 łyżek rosolu, 10 dkg. masła deserowego. Rozprowadzić mąkę niewielką ilością mleka, rozcierając ją tak, aby grudek nie było. Dodać resztę mleka, śmietankę, wymieszać, zagotować mieszając bezustannie. Do tej zaprawy dodać żółtka rozkloczone z trochę rosolu, pozostały rosół, znów wymieszać. Podgrzewać na ogniu ciągle mieszając, do zagotowania, ale nie zagotować.

Szczegóły w ilustrowanym katalogu.

Po zdjęciu z ognia włożyć surowe masło, mieszać dopóki się całkowicie nie roztopi i nie połączy z sosem. Sos holenderski powinno się robić na wydaniu. Gdyby miał być przetrzymywany do chwili wydania na stół trzeba wstawić rondel z sosem w naczynie z gorącą wodą, nakryć szczelnie, a na wydaniu już nie podgrzewać tylko wymieszać.

**Bulwy zapiekane pod beszamelem.** Wybrać bulwy jednej wielkości. Oczyszczyć, ugotować w lekko osolonej i ocukrowanej wodzie. Nie rozgotować. Osączyć z wody. Ułożyć w rynce ogniotrwalej, zalać gęstym beszamelem, posypać po wierzchu tartym serem szwajcarskim, skropić masłem sklarowanym, zapiec na jasno-złoty kolor. Po dawać w tem samym naczyniu, w którym były zapiekane.

**Bulwy smażone.** Oczyszczone, duże bulwy umyć czyste, pokrajać na dosyć grube talarki, osączyć w serwecie. Skrajać talarki w mące kručzącej, rzucić na gorące masło, lub szmalce. Rumienić z obydwóch stron. Wydawać natychmiast.

**Bulwy w bulionie.** Wybrać nieduże bulwy jednokowej wielkości. Rzucić na wrzącą wodę, gotować 5 minut. Osączyć. Rozgrzać masło na głębokiej patelni. Osmażyć na niem bulwy na rumiano, ułożyć w rynce ogniotrwalej, skropić suto gęstym, mocnym buljonem, wstawić na chwilę do pieca, żeby się dobrze wygrzały. Wydając na stół posypać drobnutko siekaną natką pietruszki.

**Selery na grzankach z sosem holenderskim.** Duże dorodne selery obrać z wierzchniej skórki bardzo delikatnie. Natrzeć sokiem cytrynowym (inaczej szernieją), ugotować w osolonej wodzie, uważając, żeby się nie rozgotowały.

Przygotować podłużne grzanecki w ilości odpowiadającej ilości selerów. Pokrajać selery na kawałki odpowiadające wielkością grzankom, ułożyć na zrumienionych na maśle grzaneckach, polać gęstym sosem holenderskim, skropić na wierzchu masłem deserowym sklarowanym i natychmiast wydawać, garnirując półmisek smażoną na maśle natką pietruszki.

**Cebula duszona z grzaneckami.** Nieduże cukrowe cebule obrać z wierzchniej skórki, rzucić na obfitą wrzącą wodę, gotować parę minut, odlać, osączyć. Rozgrzać w płaskim rondlu tyle masła, aby pokryło całkowicie dno rondla, ustawić na niem cebule jedną przy drugiej, zrumienić na ostrym ogniu uważając jednak, aby się masło nie przypaliło. Podlać kilkoma łyżkami mocnego rosolu, albo buljonem. Dusić, potrząsając często rondlem, inaczej przywra do dna. Dusić na wolnym ogniu

dopóki sos nie wydusi się do połowy i nie nabierze odpowiedniej gęstości. Przygotować tyle grzanek zrumienionych na maśle, ile mamy cebul. Ułożyć grzanki na półmisku, ustawić na nich cebule, polać sosem, który trzeba precedzić przez sitko i wydawać natychmiast, żeby grzanki nie straciły chrupkości.

**Kapusta faszerowana ryżem i grzybkiem.** Umyć czysto ryż, osączyć, zagotować w obfitej wodzie, wylać na durszlak, przelać zimną wodą. Grzybki suszone ugotować dodając cebulę i lekko soląc. Ugotowane grzybki posiekać drobno. Uduzić dużą cukrową cebulę, drobno posiekaną, z czubatą łyżką masła. Wszystko to dodać do ryżu, wlać jeszcze 5 dkg. masła sklarowanego, osolić, wsypać odrobinę białego pieprzu mielonego, garść siekanej zieleninki, dwa całe jajka. Doskonale wymieszać.

Sparzyć głowę białej kapusty, rozebrać na poszczególne liście. Z każdego liścia wyciąć gruby kawałek głąba u nasady. Rozpościerać poszczególne liście, kłaść pośrodku trochę farszu, związać tak jak paszteciki w naleśnikach.

Rozpuścić w rondlu czubatą łyżkę masła, ułożyć na niem kapustę, lekko osolić, polać smakiem grzybowym i łyżką buljonu. Dusić pod przykryciem na wolnym ogniu około dwóch godzin. Na wydaniu zdjąć przykrycie, posypać po wierzchu tartym serem szwajcarskim, skropić masłem, wsunąć do bardzo gorącego pieca na krótką chwilę, trzymając tylko tak długo, dopóki się z wierzchu nie zrumieni.

**Wyśmienity budyń z kapusty słodkiej.** Proporcja: 1 duża, albo dwie mniejsze główki kapusty, 5 żółtek, czubata łyżka masła, pół szklanki słodkiej śmietanki, 2 łyżki cukru, 5 łyżek tartej bułki, soli do smaku, piany z pozostałych białek.

Oddzielić kilka całych, dużych liści kapusty, resztę drobno poszatkować, sparzyć osączyć. Wyłożyć kapustę na miskę, dodać żółtka utarte z masłem, śmietankę tartą bułeczkę, sól, cukier. Wymieszać. Do dać sztywno ubitą pianę z pozostałych białek, znów lekko wymieszać.

Pozostawione w całości liście sparzyć wrzątkiem, ułożyć na dużej, białej serwecie, na tych liściach położyć farsz, osłonić go dookoła liśćmi kapuścianymi i owiązać to wszystko serwetą, nadając kształt głowy kapuścianej. Związać serwetę sznurkiem. Przygotować w dużym rondlu wrzącą, lekko osoloną wodę, wpuścić w nią serwetę z budyńkiem, tak aby nie dotykał do dna, ale aby cały się zanurzał w wodzie. Brzegi serwety przywiązać do trzonka od rondla. Gotować pod przykryciem godzinę. Wydając wyjąć ostrożnie z serwety, ułożyć

na okrągłym półmisku, polać obficie sklarowanym masłem. Oddzielnie można podać sos beszamelowy, albo holenderski.

**Salata zielona z marchwią.** Oczyszczyć parę marchewek (karotek), umyć, poszatkować bardzo cieniutko, lekko osolić, zaciągnąć sokiem cytrynowym, pozostawić w chłodzie na kilka godzin, żeby się surowa marchewka doskonale zmacerowała.

Zieloną salata oplókać, osączyć. Wysłać dno szklanej salaterki listkami salaty, posypać je marchewką szatkowaną, dać znów salata i znów marchewkę, postępując tak aż do wypełnienia salaterki.

Sok z jednej cytryny wymieszać z dwoma łyżkami wyborowej oliwy nicejskiej, dodać trochę cukru, szczyptę soli, siekaną zieleninkę. Zalać tą zaprawą salata.

**Salata z selerów.** Piękne, zdrowe selery, oskrobać, wypłókać w wodzie zaciśniętej sokiem cytrynowym, ugotować w wodzie osolonej i zakwaszonej sokiem cytrynowym. Ugotowane, ale nie przegotowane, osączyć, pokrajać karbowanym nożykiem na cienkie plasterki, ułożyć na szklanej salaterce, posypać obficie drobno siekanym szczypiorkiem, zalać sokiem cytrynowym wymieszanym z oliwą, odrobiną cukru i soli, wymieszać. Pozostawić w chłodzie na godzinę.

**Salatka z surowych selerów i jabłek.** Poszatkować drobnutko surowe selery oczyszczone ostrym nożem. Wypłókać w wodzie zakwaszonej sokiem cytrynowym, rzucić na wrzącą wodę, raz zagotować osączyć, wystudzić. Wyborowe jabłka winowate obrać ze skórki, wydrążyć środki, poszatkować tak jak selery i dać ich taką samą ilość, jak selerów. Ułożyć to wszystko razem na szklanej salaterce, skropić sokiem cytrynowym, oprószyć białym pieprzem mielonym, solą. Wlać łyżkę oliwy, wymieszać. Sos majonezowy rozebrać białym winem, nie rozrzedzając go zbyt, zalać nim salatkę, postawić w chłodzie na kilka godzin. Wydając na stół posypać siekaną zieleninką: natką pietruszki i szczypiorkiem.

Melba.

Sprostowanie omyłek drukarskich w przepisach kulinarnych:

Nr. 36 1934 r. W przepisie „Baba drożdżowa naprędce“ jest: 1 klg, gorzkich migdałów, powinno być: 1 dkg. gorzkich migdałów.

Nr. 49 1934 r. w przepisie „Budyń z ryżu“ jest: 6 klg. mąki; powinno być: 6 dkg. mąki.



*Jumpery są zawsze noszone i niezastąpione, jeśli chodzi o praktyczne i stosowne ubranie na dzień do pracy, do sportu.*

*Przedstawiamy dziś naszym Czytelniczkom dwa modele. Jeden, z wycięciem przy szyi, obramowanym paskiem wełny, jaśniejszym od całości. Drugi z kołnierzem - pelerynką, dokładnie okrywającym szyję, a zatem odpowiednim i pod palto z otwartym szalowym kołnierzem.*





*Suknia wizytowa z ciemnego crêpe satin, na stronę matową.  
Suknia wizytowa z jedwabiu w dwóch tonach (czarno - biały).*



Suknia balowa z tafty i sortie w kształcie pelerynki.  
Suknia wieczorowa z velour-chiffon z szarfą z ciemniejszego weluru.

## Modne drobiazgi

Stanowią dziś niezbędne uzupełnienie stroju kobiety, nadając mu indywidualne cachet.

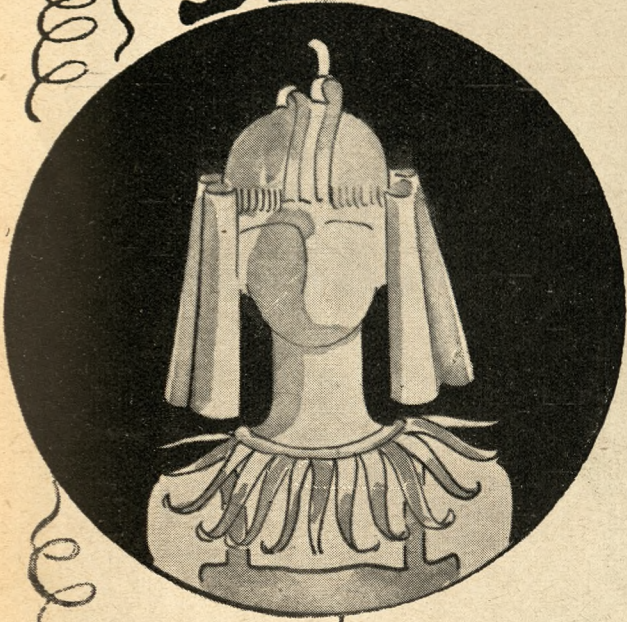
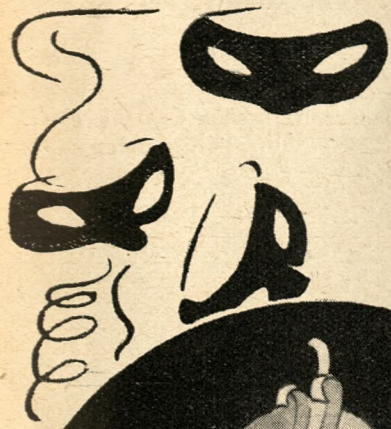
Żabocik, klips, spiczek, torbka z monogramem właścicielki, rękawiczki i pasek z jednokowej skóry i z bliźniaczą ornamentacją, szalik zawiązany lub przerzucony w swoisty sposób, kwiat spinający eleganckie futro, puderniczka, papierośnica i zapalniczka z jednego i tego samego materiału czynią z najskromniejszej sukni lub palta elegancką całość.



## Przybrania głowy na bal kostjumowy

### 1. KSIĘŻNICZKA EGIPSKA.

Czapeczka z błyszczącego, czarnego jedwabiu ściśle oblegająca głowę. Rulony przyszyte do boku czapki, języczki nad czołem, oraz naszyjnik robimy z papieru, na który dla wzmocnienia naklejamy sztyroną merle, a następnie zlocimy limorem gruboziarnistym.



### 2. DZIWOZONA.

Wianuszki zrobione ze sznurka z trawy morskiej i posrebrzone. Rzucamy je tu i owdzie na sukience niebieskiej lub różowej; dają wdzięczne i oryginalne przybranie.

### 3. BIEDERMAJER.

Budkę robimy z brystolu, naklejonego na merle i srebrzimy limorem gruboziarnistym. Maseczka ze srebrnego papieru zakrywa czoło i pół twarzy wzdłuż osi pionowej. Łoki robimy z miórnów i posrebrzamy je. Na budkę zarzucamy szal b. przejrzysty i zawiązujemy pod brodą.

### 4. PAZ.

Z trzech trójkątów bardzo rozwartych zszywamy kapelusz. Może być czarny lub srebrny. Piórko robimy, oklejając drut paseczkami papieru srebrnego i szmaragdowego, wyciętymi podług załączonego kształtu.



## Przybrania balowe

### SZAL I KWIAT Z CEKINEK.

Prostokątny szal z tiulu chiffon wyszywamy cekinkami według załączonego wzoru. Kolory dostosowujemy do sukni. Storczyk robimy, naszywając czarne cekinki na trzech trójkątach merli podwójnie wziętej. Po drugiej stronie naszywamy cekinki srebrne, które ładnie kontrastują ze stroną czarną przy wygięciu płatków.

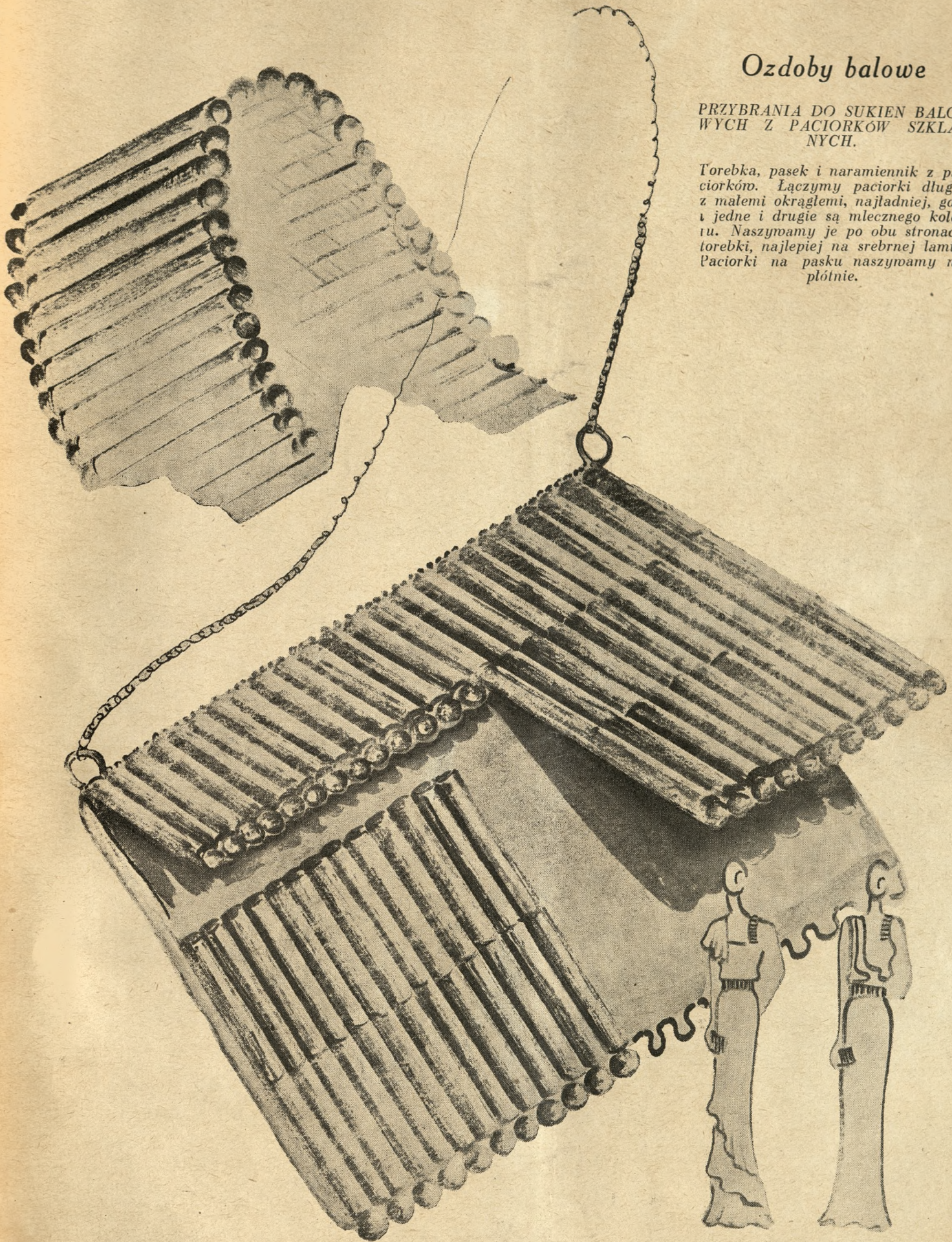




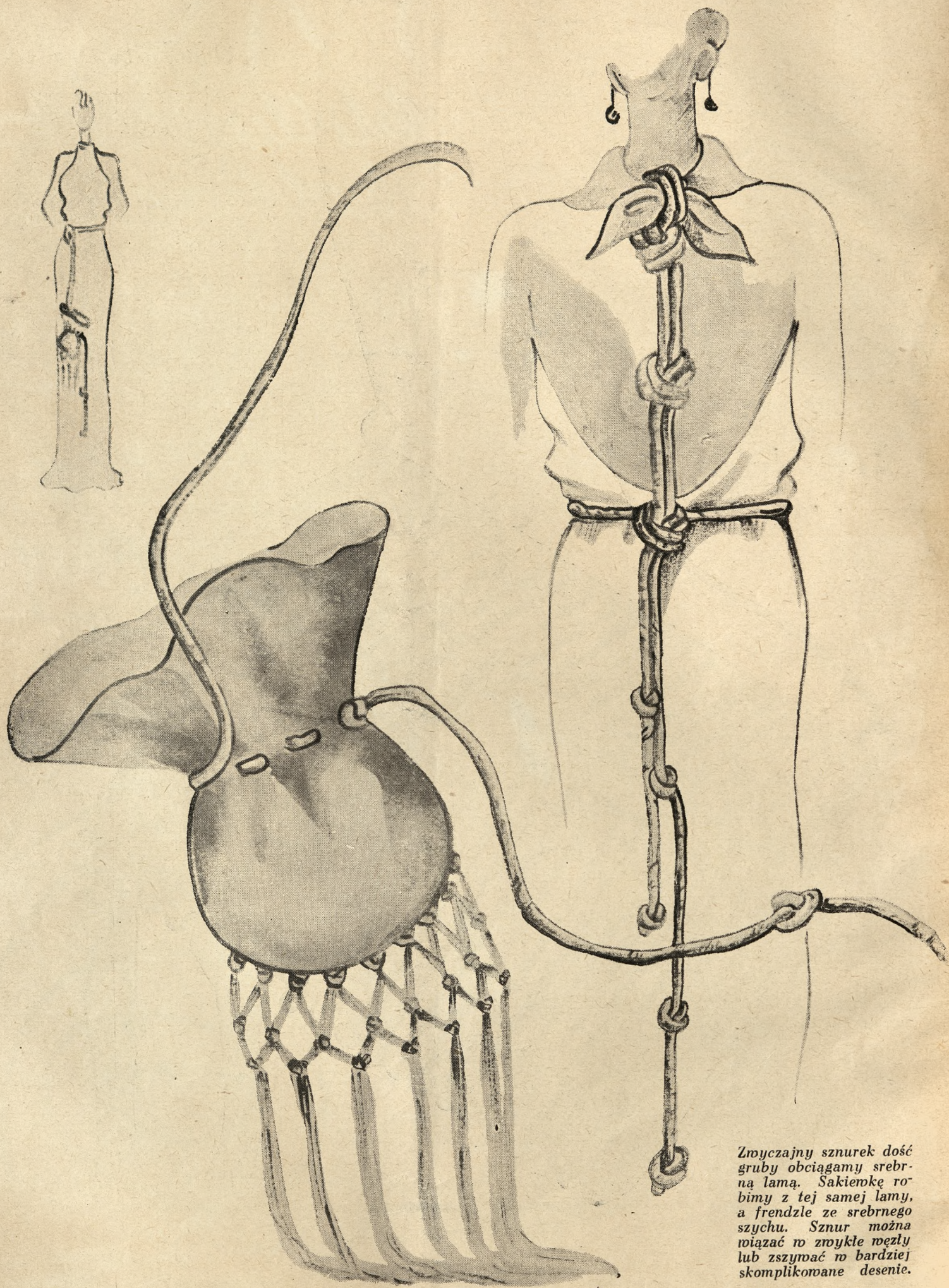
## Ozdoby balowe

PRZYBRANIA DO SUKIEN BALOWYCH Z PACIORKÓW SZKLANYCH.

Torebka, pasek i naramiennik z paciorków. Łączymy paciorki długie z małymi okrągłymi, najładniej, gdy i jedne i drugie są mlecznego koloru. Naszywamy je po obu stronach torebki, najlepiej na srebrnej lamie. Paciorki na pasku naszywamy na płótnie.



Balowe drobiazgi — Sznur i sakiewka



Zwyczajny sznurek dość gruby obciągamy srebrną lamą. Sakiewkę robimy z tej samej lamy, a frendzle ze srebrnego szychu. Sznur można wiązać w zwykłe węzły lub zszywać w bardziej skomplikowane desenie.